Rog Phillips

M'Bong-Ah

(M'Bong-Ah)

Amazing Stories, February 1949
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

— **M**'Bong – Ah.

Słowo to przebijało się przez mieszaninę głosów, pomruków, grającej muzyki i hałaśliwego grzechotu antycznego wentylatora. Ktokolwiek je wypowiadał, akcentując poszczególne sylaby, podnosił głos tylko w tym momencie, ponieważ kiedy zostało ono już wypowiedziane, słychać było tylko wspomniane wcześniej odgłosy, zmiksowane w coś, co pewien pisarz kiedyś określił, jako atmosferę dźwiękową – specyficzną atmosferę dźwiękową poczekalni portu kosmicznego, z nieodłącznym barem, bufetem restauracyjnym, stolikami i różnobarwnym tłumem ludzi.

Na dźwięk tego słowa, stary człowiek, siedzący przy barze, na wpół drzemiąc nad kuflem nieświeżego piwa, otworzył załzawione, zaropiałe oczy i podniósł głowę. Jego nieuporządkowana broda i poplamione tytoniem wąsy, uniesione z poduszki spoczywającego na ladzie zgiętego ramienia, pasowały do brudnego i spoconego ubrania oraz niemal zupełnie zniszczonych butów.

Uniósł swój na wpół opróżniony kufel i powoli wypił z niego nieświeżą lurę. Kiedy odstawił kufel na bar, na wąsach wisiały mu błyszczące krople.

Załzawione oczy starca popatrzyły na ścianę luster z tyłu baru, wolno mierząc wzrokiem ogromne pomieszczenie poczekalni, tak jakby zwykłe przyjrzenie się Sali, mogło pozwolić na lokalizację źródła dobiegającego dźwięku.

W poczekalni widać było zwykły zestaw turystów – bogaci ojcowie rodzin wraz ze swymi bliskimi, bogaci kawalerowie ze swoimi sekretarkami i już nie tak bardzo bogaci urlopowicze, którzy oszczędzali przez całe lata, aby móc sobie pozwolić na podróż na Marsa lub Wenus, czy też tylko na Księżyc i z powrotem.

Wzdłuż całej przeciwległej ściany poczekalni, znajdował się stół, przy którym siedzieli ludzie w mundurach. Sądząc po insygniach na ramionach, byli to podchorążowie z transportowca armijnego, który, zgodnie z informacją na tablicy rozkładu lotów, miał wystartować o piątej, czyli za trzy godziny.

Kiedy stary człowiek ich obserwował, przez atmosferę dźwiękową przebił się ten sam głos. Należał on do nieskazitelnego, podchorążego o wyszorowanej niemal do czerwoności twarzy, siedzącego przy tamtym stole.

Starzec zsunął się z wysokiego stołka barowego i zaczął niezręcznie lawirować między stołami, zmierzając generalnie mniej więcej w kierunku młodego człowieka. Zatrzymał się, po dotarciu na odległość z której mógł dosłyszeć wypowiadane słowa. Stał ze wzrokiem dla niepoznaki utkwionym w szklaną płytę w ścianie pomieszczenia, wyglądającą na lądowisko. Natomiast uszy starca uważnie nasłuchiwały spod osłony długich, białych od brudu włosów. Jego powolnie działający umysł zaczął wychwytywać znaczenie słów dostarczanych mu przez słuch.

— To będzie prawdziwa szansa na przetestowanie teorii, którą wykorzystałem jako podstawę mojej rozprawy dyplomowej — mówił właśnie młody człowiek. — Zastosowanie nieustannie powtarzanych wzorców dźwiękowych jako środka hipnotycznego. Departament sądzi, że być może uda mi się odkryć coś, co wyjaśniałoby wyższy odsetek przypadków szaleństwa kosmicznego na jednych statkach, niż na innych. Moja teoria jest czymś odmiennym od wszystkich podejść stosowanych do tej pory.

— A więc, naprawdę myślisz — powiedział drugi podchorąży, — że zwykłe odgłosy na statku kosmicznym mogłyby powodować szaleństwo?

— Nie same w sobie — skorygował go pierwszy z młodych ludzi. — Pomyśl o tym w ten sposób. Wszystko co wchodzi do umysłu człowieka, powiązane jest z czymś innym, w większej części podświadomie. Weźmy taki hipotetyczny przypadek: powiedzmy, że komuś, kiedy miał cztery lata, wydarzyło się coś bardzo dla niego nieprzyjemnego. Powiedzmy dalej, że kiedy to się działo, pewna kobieta, gdzieś przy tej samej ulicy, grała na fortepianie jakąś melodię. Nasz bohater w sposób świadomy, nawet nie zdawał sobie sprawy z granej przez nią muzyki, a nawet mógł w ogóle nie słyszeć żadnych dźwięków. Jego umysł był skoncentrowany na tym strasznym zdarzeniu, które go spotkało, cokolwiek by to nie było, a jego emocje przepełnione lękiem, intensywnym lękiem. Przez resztę życia, muzyka fortepianowa działałaby na niego bardzo dziwnie. Wywoływałaby nierozumny strach. Może nawet nie byłby w stanie słuchać dźwięku fortepianu. W przyszłości, kiedy byłby już dorosłym człowiekiem, gdyby ktoś, przypadkiem zagrał na fortepianie tę samą melodię, mógłby nagle zupełnie stracić równowagę.

— Już chwytam — ucieszył się z podekscytowaniem drugi z młodych ludzi. — Myślisz, że na statkach mogą pojawiać się jakieś dźwięki, które wyciągają na wierzch te ukryte skojarzenia z rzeczywistymi wydarzeniami mającymi miejsce w przeszłości.

— Po części, tak — potwierdził pierwszy z młodych ludzi. — Ale to nic nowego, fakt powszechnie akceptowany w psychologii. To, czym jestem głównie zainteresowany, to odkrycie, że istnieją dźwięki, które same w sobie mają charakter hipnotyczny. Taka jest moja teza – że istnieją pewne dźwięki, które jeśli będą się powtarzać, cały czas przez wiele dni, doprowadzą człowieka do szaleństwa. Oraz, że istnieją inne dźwięki, które jeśli będą w ten sposób powtarzane, powodować będą odmienne efekty psychologiczne. Zakwalifikowałem je do kategorii dźwięków czysto hipnotycznych i…

Jego wzrok spoczął na stojącym w pobliżu starym człowieku. Starzec właśnie patrzył prosto na niego. Pierwsza reakcja, niesmaku na niechlujny wygląd starego człowieka, szybko została zastąpiona przez ciekawość.

Starzec widząc, że ściągnął na siebie uwagę młodego oficera, zdawał się mieć ochotę na wycofanie, ale kiedy nastąpiła chwilowa przerwa w rozmowie, zrobił krok w stronę stołu.

— Zainteresowała mnie rozmowa panów — powiedział, przyciszonym, przepraszającym głosem, wydobywającym się poplamionej i skołtunionej brody.

— Och, oczywiście, że tak — odparł młody człowiek, uśmiechając się kpiąco do towarzyszących mu kilku kolegów, podchorążych. — Ale czemu, jeśli mogę zapytać? — Wyczuł okazję do chwilowej rozrywki, która mogła zabić nieco czasu, jaki pozostał im do zaokrętowania.

Starszy człowiek spojrzał pytającym wzrokiem na jedyne wolne krzesło przy stole.

— Oczywiście, niech pan siada, proszę pana — zaprosił go młody kadet. Oznaki szacunku w jego zachowaniu stanowiły zamierzoną subtelną obrazę. — Proszę usiąść i powiedzieć mi dlaczego zainteresowała pana nasza rozmowa. Stawiam panu piwo. — To ostatnie było odruchem, podyktowanym przez lepsze instynkty.

— Dziękuję panu, młody człowieku — powiedział starzec, z zaskoczeniem w głosie. Usiadł przy stole, uważnie ocierając wąsy zakurzonym rękawem w próżnej próbie mocno spóźnionej toalety. Nieśmiało powiódł wzrokiem od jednej młodej twarzy do drugiej i w jego zamglonych życiem oczach coś się pojawiło. Żal? Dręczący duszę głód towarzystwa i szacunku ludzi? Nie było sposobu, aby się dowiedzieć.

W odpowiedzi na sygnał młodego człowiek, pojawił się kelner, a po chwili wyprawiono go z misją dostarczenia butelki piwa.

Młody podchorąży mrugnął okiem do swoich towarzyszy.

— Panów rozmowa na temat dźwięku jako środka hipnotycznego — rozpoczął z wahaniem stary człowiek, — spowodowała, iż pomyślałem sobie, że mogą być panowie zainteresowani pewnym wydarzeniem z mojego życia.

Machnął ręką, w geście pokazującym, że nic co wydarzyło się w jego życiu nie należy traktować jako coś bardzo ważnego.

— Dzisiaj, to nie jest nic istotnego — mówił dalej. — Wątpię nawet, czy ktoś chciałby tracić czas na słuchanie starca i historii jego życia, a już zwłaszcza kogoś takiego jak ja; ale panowie szukacie czegoś, a ja – jeśli to możliwe – mógłbym przy pomocy tej historii pomóc panom w tych poszukiwaniach.

— Proszę strzelać — odparł podchorąży, uśmiechając się. — W trakcie tej podróży, przez całe miesiące będziemy musieli słuchać siebie nawzajem. Być może w chwilach desperacji, wspomnienie pańskiego głosu, przyniesie nam jakąś ulgę.

Kelner przyniósł butelkę piwa. Stary człowiek drżącymi palcami nalał trochę bursztynowego płynu do towarzyszącej jej szklanki. Pociągnął z niej głęboki łyk i odstawił szklankę na stół.

— Być może panowie mi nie uwierzą — rozpoczął opowieść, — ale kiedyś, bardzo dawno temu, kiedy byłem tak młody jak panowie teraz, siedziałem przy tym samym stole. — Jego palec wskazał na podchorążego, siedzącego w odchylonym do tyłu i opartym o ścianę krześle, zapierającego się jedną stopą o krawędź stołu. — Siedziałem dokładnie w tym miejscu co pan — powiedział. — Och, mundury wtedy były nieco inne, podobnie jak statek kosmiczny, na który czekałem. I, tak naprawdę, to nie

byłem podchorążym, chociaż każdy człowiek pozostający wtedy w służbie rządowej, zgodnie z dzisiaj obowiązującymi przepisami, mógłby zostać zaklasyfikowany jako podchorąży. Przez tę poczekalnię przewinęli się wszyscy mężczyźni, którzy kiedykolwiek opuścili Ziemię. Oczywiście również wszystkie kobiety.

Stary człowiek urwał, a jego umysł powędrował w przeszłość. Z ponurych zakamarków pamięci, ogromnego morza poniżenia i bezsilności, nadzy ludzie, o skórze koloru indygo mruczeli, mruczeli, mmmmm. Wdzierając się w ich monotonny, jednostajny pomruk kultowej czci i uwielbienia, nadleciał dźwięk setek świątynnych gongów, które wszystkie zabrzmiały w jednej chwili, a następnie ucichły na sygnał jakiegoś niewidocznego młodszego kapłana. W chwili, gdy grzmiące BONG dobiegło do swego raptownego końca, morze głosów wezbrało w westchnieniu, jak świst tysiąca wichrów. Aaahhh.

Ponownie przed oczyma pojawił się mu obraz wysokiego na osiem stóp monarchy o skórze w kolorze indygo, stojącego na podium, przed swym zdobionym klejnotami tronem. Pojawił się w tym miejscu nagle, na głos gongów – dumny, o królewskiej postawie, barbarzyńskie nozdrza falowały mu jak u dzikiego rumaka. Zakończone ostrymi występami nakrycie głowy skrzyło się purpurowo w promieniach słońca, pełznących przez wysokie szczyty Sierra Corscateh, filtrowanych do słabej poświaty przez wieczną pokrywę chmur, unoszącą się nad powierzchnią Wenus.

Wszystko to miał znowu w swej pamięci. Tylko on, ze wszystkich ludzi na Ziemi, widział to na własne oczy, i to jedynie raz. A jednak dźwięk ten sunął przez wenusjańską dżunglę, stając się legendarną grozą. Wielu ludzi słyszało go i trzęsło się jak osika, w chwili gdy cichł zastępowany przez trzeszczące, warczące normalne odgłosy życia dżungli. MmmmmMMMBONGaaahhh!

Młody człowiek szarpał go za ramię.

— Hej, starcze — mówił do niego. — Obudź się wreszcie. Obiecałeś nam za swoje piwo opowieść. Przynajmniej mógłbyś wypić piwo do końca, zanim uśniesz.

— Piwo? Opowieść? — Stary człowiek spojrzał nieobecnie na otaczające go młode twarze.

Ucieczka w odległe głębiny pamięci, zmieniła się w koszmar śmigających, skrytych plam niebieskiej skóry, prześlizgujących się przez mroczne cienie dżungli, odległego skandowania dzikiej hordy, dźwigającej ze sobą świątynne gongi jako tarcze. MmBongaahh, m'bong-ah, mbongah, mbongahmbongahmbongahmbongah. Bezlitosne, bezduszne, obce, bestialskie.

Stary człowiek zanurzył poplamione tytoniem wąsy w rzednącą pianę swego piwa i koszmar w pamięci wycofał się ponownie w najdalsze jej zakamarki. Umysł mu się oczyścił. Zaczął opowiadać, głosem tak przyciszonym, że młody podchorąży zmierzający na podbój kosmosu, musiał się nachylić do niego bliżej i jeszcze bliżej, aby słyszeć to co mówi.

Tak blisko, że być może nawet był w stanie usłyszeć nieustający dźwięk wenusjańskiego bębna męczarni, cichy, zawsze taki cichy, ale jednak zawsze obecny tam, w jego umyśle.

— **P**oczekaj chwileczkę, Ben. Dokąd to tak się śpieszysz?

Ben odwrócił się na dźwięk znajomego głosu. Zobaczył Freda Larkinsa, z szerokim uśmiechem na opalonej twarzy, wyciągającego nogi w długich krokach, aby go dogonić.

— Dzień dobry, Fred — ciepło pozdrowił go Ben. — Muszę iść do kwatery głównej. Stary kazał mi się tam zameldować dzisiaj rano, po specjalny przydział.

— Kiedy ci to powiedział? — spytał Fred, zwalniając i idąc krok w krok, obok Bena.

— Wczoraj w nocy. Razem z Jean poszliśmy na przedstawienie, a potem trochę potańczyć. Kiedy wróciliśmy do domu, jej ojciec ciągle jeszcze nie spał, pracując nad jakiś raportami.

— No tak — sucho zachichotał Fred. — Po tym jak związałeś się z córką starego i zdobyłeś wewnętrzne dojście, mogłeś być pewien, że w końcu wciągnie cię do swojej roboty.

— Jesteś po prostu zazdrosny — roześmiał się Ben. — A przecież wiesz, równie dobrze jak ja, że w całej jednostce nie ma faceta, który by nie poszedł za nią, nawet gdyby była tylko córką miejscowego sklepikarza.

— To prawda — westchnął Fred. — Jak taki zmumifikowany stary trep, może być ojcem takiej wspaniałej, ślicznej dziewczyny, tego w żaden sposób nie są w stanie wyjaśnić nawet najmądrzejsze podręczniki genetyki.

Dwóch mężczyzn szło razem w milczeniu przez kilka jardów. Obaj byli żołnierzami najnowszego rodzaju sił zbrojnych onzarmii (armii Organizacji Narodów Zjednoczonych). Po szczęśliwym powrocie pierwszego statku kosmicznego z Wenus, zaledwie rok temu, narody świata scaliły swoje zasoby dla stworzenia kosmicznej armady. Wraz z postępem fizycznej budowy statków, ONZ zostało upoważnione do zorganizowania specjalnego rodzaju sił zbrojnych, szkolącego ludzi na potrzeby lotów kosmicznych. Wszystkie te decyzje podjęto na podstawie wyników tej jednej udanej wyprawy na Wenus i z powrotem.

Efekty osiągnięte przez tę wyprawę, były ściśle tajne. Krążące plotki przekraczały granice fantazji. A jednak wydawało się, że nikt nie wie dokładnie, co statek przywiózł z powrotem, jeśli chodzi o dane dotyczące lotu kosmicznego, okazów zwierząt i roślin, czy też zdjęć samej Wenus.

Benjamin Arnold i Frederick Larkins, byli dwoma spośród dwudziestu paru tysięcy oficerów, przeniesionych do nowego rodzaju sił zbrojnych, sześć miesięcy temu. W ciągu tych sześciu miesięcy uczyli się oni zasad nawigacji kosmicznej, elementów astronomii i setek drobniejszych umiejętności, które ich przełożeni uznali za najważniejsze jeśli chodzi szkolenie oficerów sił kosmicznych.

Dawano im do zrozumienia, że po zakończeniu sześciomiesięcznego szkolenia podstawowego, zostaną podzieleni na specjalistyczne grupy, przy czym każda z nich koncentrować się będzie na pewnej fazie tej ściśle tajnej dziedziny. Powszechnie przyjmowano za pewnik, że cały program był wymierzony finalnie w powrót na Wenus. Dlaczego wymagać to miało zmobilizowania ponad dwudziestu tysięcy oficerów, uzupełnionych odpowiadającą im armią półtora miliona ludzi, było to pytanie, które każdemu chodziło po głowie, ale którego nikt nie ośmielił się zadać.

Ben wszedł teraz do budynku sztabu, aby otrzymać specjalny przydział. Pozostawił Freda w wejściu do wielkiego gmachu, obiecując, że po powrocie wszystko mu opowie, jeżeli nie zostanie zobowiązany do zachowania tajemnicy.

Skórzane obcasy wybijały głośne crescendo na marmurowej posadzce ogromnego hallu gmachu kwatery głównej; dźwięk ten odbijał się głucho od potężnych arkad unoszącego się nad jego głową dachu. Wszedł szerokimi, niskimi schodami, prowadzącymi do biur sztabu i pewnie skierował się w stronę drzwi po prawej, gigantycznych wrót z brązu, otwierających się na mniejsze korytarze między prywatnymi biurami pracowników legendarnej kwatery głównej.

Zawahał się tylko przez chwilę, przed drzwiami, które na zewnętrznej stronie szyby z zamglonego szkła, miały przyczepioną tabliczkę „gen. G.H. Green”. Potem otworzył drzwi i wszedł do środka.

Oficer WAC w nienagannym mundurze spytała o jego nazwisko i poprosiła, aby spoczął. Usiadł więc ze sztywno wyprostowanymi plecami i czekał. Minęła godzina, w czasie której wchodziło i wychodziło wielu ważnych ludzi, nie zwracając na niego uwagi. WAC od czasu do czasu spoglądała na niego zaciekawionym wzrokiem. Regulamin był tu jednak bardzo precyzyjny, i nie nawiązała z nim rozmowy.

Ben sporadycznie rzucał w jej stronę spojrzenia, podziwiając zdecydowaną krzywiznę podbródka, urodę blond włosów, przyjemne krzywizny doskonale utrzymanego ciała, których nie mógł ukryć nawet mundur onzarmii. Uspokajał swe sumienie, że to tylko tak, dla zabicia czasu. A poza tym, Jean była nieskończenie od niej piękniejsza, pod każdym względem.

W końcu, zobaczyła, że nadeszła jego kolej i powiedziała mu, że może wejść do środka. Kiedy znalazł się w wewnętrznym pomieszczeniu biura, ojciec Jean, generał Green, wyszedł mu naprzeciw, witając się z nim uściskiem dłoni.

Ben uniósł brwi na to przyjęcie. Musiało kroić się coś naprawdę niezwykłego.

Jego domysły okazały się być słuszne. W ciągu następnej pół godziny, dowiedział się o kilku rzeczach, co do których świat na zewnątrz wiele by dał, aby je poznać.

Najpierw dowiedział się, że tutaj, na Ziemi, była prawdziwa, rzeczywista, żywa Wenusjanka. Kobieta. A właściwie tak naprawdę,

dziewczyna. Nie było sposobu by dowiedzieć się ile miała lat, ponieważ Wenusjanie nie liczyli upływu czasu, nie mieli pojęcia o tym, a przynajmniej w zakresie mierzenia liczby lat.

Potem otrzymał swoje nowe zadanie, które polegało na nauczeniu się mówienia i rozumienia po wenusjańsku.

Po kolei otrzymał informacje na temat najważniejszych faktów dotyczących tajemniczej podróży na Wenus. Wiadomo było, że Wenus odwraca się zawsze do Słońca jedną stroną, tak jak Księżyc zwraca się w stronę Ziemi. Jej powierzchnia pokryta była rozległymi oceanami. Po słonecznej stronie, oceany te wrzały i parowały, wysyłając w górę ogromne chmury oparów. Okrążały one planetę i spadały na ciemną stronę w postaci deszczu, a następnie płynęły w stałych prądach oceanicznych, z powrotem na stronę słoneczną.

Na Wenus znajdowały się trzy kontynentalne obszary lądowe, wszystkie zamieszkałe przez rasę bardzo dzikich barbarzyńców, z wyglądu w pełni podobnych do ludzi, poza tym, że ich skóra miała kolor jasnego indygo. Załoga statku próbowała bezskutecznie nawiązać przyjazne kontakty z tubylcami. Nigdzie nie zostały one mile przyjęte.

Pod koniec swoich działań eksploracyjnych, zaskoczyli i porwali jedną z Wenusjanek, dziewczynę. Aż do ostatnich dni, nie poczyniono żadnego postępu w pozyskaniu jej przyjaźni. Samotność w końcu zmusiła ją jednak do uległości. Poczyniono również postępy w nauce znaczenia słów jej języka. Eksperci zarejestrowali wiele jej wypowiedzi. Zapisy te mogły zostać wykorzystane do nauczenia jej języka wybranej grupy ludzi.

Ben był jednym z kilku oficerów, wybranych do tej pracy.

Generał Green mocno naciskał na znaczenie zachowania tego wszystkiego w tajemnicy. Gdyby świat otrzymał choćby cień podejrzenia faktu obecności na Ziemi żywej Wenusjanki, nawet cała onzarmia nie zdołałaby powstrzymać ludzi przed jej zobaczeniem. To mogłoby z powrotem wtrącić ją w otchłanie jej upartej dzikiej natury i uniemożliwić jakikolwiek dalszy postęp.

Jeżeli chcieli zachować nadzieje nawiązania jakichkolwiek przyjaznych stosunków z wenusjańskimi dzikusami, niezbędne było przygotowanie grupy oficerów biegle mówiących w ich języku.

Ben wyszedł z biura uradowany swoim szczęściem. Pierwsza część jego zadania polegała na obejrzeniu kolorowych filmów wenusjańskich lądów i kilku minut ujęć wenusjańskiej dziewczyny, zrobionych ukrytymi kamerami w miejscu, w którym ją trzymano.

Sesja filmowa miała się zacząć najwcześniej o drugiej, a kiedy wyszedł z biura generała Greena, minęła właśnie jedenasta. Fred ciągle czekał na niego przed budynkiem.

— Z błysku w twoich oczach, Ben, wnioskuję, że w całej tej sprawie gdzieś musi być jakaś kobieta — zauważył bystro.

— Przykro mi, Fred — napawając się powiedział Ben. — Ściśle tajne, stary. Nie mogę zdradzić ci nawet cienia informacji, wiesz przecież.

— Czy zawsze tak musi być! — wyjęczał Fred. — No dobrze, co powiesz na drinka w miejscowym piekiełku?

— Ale tylko szybkiego — zgodził się Ben. — Będę miał dzisiaj ciężkie popołudnie.

Światła w małej sali kinowej pogasły i rozjaśnił się ekran. Na widowni siedziało tylko dwudziestu ludzi, wszyscy dobrze znali się między sobą. Żaden z nich nie wiedział, kto jeszcze będzie na tym spotkaniu, dopóki nie zostali zaproszeni do sali i nie zobaczyli siebie nawzajem.

Pierwszy film, który pojawił się na ekranie, był ujęciem z bliska tarczy samej Wenus. Głos komentatora oznajmił, że został on zrobiony z odległości mniej więcej piętnastu tysięcy mil.

Film był kolorowy, doskonale wyraźny, aż do drobnych szczegółów. Można było dostrzec powolne ruchy pokrywy chmur. Czerwone, niebieskie i białe leciutkie smugi wskazywały ruchy prądów stratosferycznych.

Widać było również jakąś ciemniejszą plamę, przesuwającą się przez powierzchnię planety. To, wyjaśnił komentator, nie był obiekt fizyczny, jak sądzili astronomowie na podstawie wcześniejszych obserwacji Wenus, lecz był to wir, gigantyczne zawirowanie powietrza. Siła odśrodkowa obrotu wyrzucała jasno ubarwione opary z jego środka, pozostawiając ciemną dziurę, która wyglądała w ziemskich teleskopach jak wolno przesuwająca się wypukłość terenu, coś co uważano wcześniej za szczyt góry.

Zjawiska te były obserwowane kilka razy i zmierzono również szybkość ich przemieszczania. Myślano, że dzięki temu ostatecznie udało się wyznaczyć okres obrotu Wenus, ale po szeregu takich pomiarów, stwierdzono, że rozrzut otrzymanych wyników jest zbyt duży.

Obraz Wenus błysnął i zniknął z ekranu, a następnie został zastąpiony przez człowieka, stojącego przed dużym diagramem, ilustrującym schematyczny przekrój atmosfery Wenus.

Diagram pokazywał podział atmosfery na poszczególne jej warstwy. Widoczne na nim zakrzywione strzałki wskazywały kierunek i szybkość prądów powietrza. Gruba, niebieska wstęga ilustrowała położenie pokrywy chmur.

Po słonecznej stronie Wenus, pokrywa chmur rozciągała się w dół, aż do samej powierzchni planety. Mężczyzna na ekranie wskazał trzymanym w ręku wskaźnikiem na niebieską wstęgę.

— Na słonecznej stronie — mówił, — parujące oceany wyrzucają chmury pary wodnej, aż do stratosfery. Tam zaczyna się proces ich kondensacji i opadania w kierunku powierzchni planety, jako deszczu. Jednak zanim krople deszczu zdołają osiągnąć powierzchnię, ogromne gorąco powoduje ich ponowne parowanie. Zjawisko to tworzy nieustanny cykl nad zwróconą ku słońcu jedną trzecią powierzchni planety.

Jego wskaźnik przesunął się na duży okrąg na diagramie.

— Oto, z grubsza, granice gorącego obszaru — wyjaśnił. — Chłodne powietrze z ciemnej strony, dryfuje do tego obszaru, nagrzewając się, unosząc wysoko, aż do stratosfery razem z parą wodną.

— Ten nieustanny napływ chłodnego powietrza, tworzy dookoła obszar niskiego ciśnienia. Wyrzucone w górę gorące powietrze i para wodna, rozprzestrzenia się w wyższych partiach atmosfery, przemieszczając się wokół planety, na chłodniejszą stronę odsłoneczną. Prądy powietrza osiągają prędkość niemal tysiąca mil na godzinę, pokonując część drogi wokół planety i zbiegając się w miejscu położonym mniej więcej ponad punktem najbardziej oddalonym od słonecznej strony.

— Ogromna prędkość prądów powietrza w wyższych warstwach atmosfery, raptownie opada w miarę zbliżania się do powierzchni. Dwadzieścia mil nad powierzchnią, prądy te są niemal bez znaczenia. Poniżej tego poziomu, zmierzają one jednak w kierunku strony odsłonecznej.

Następnie, schematyczny diagram atmosfery Wenus został zastąpiony przez globus planety z zaznaczonymi obszarami lądów i zarysem grzbietów górskich na ich powierzchni. Globus na ekranie powoli się obracał, zaś komentator przy pomocy wskaźnika, wskazywał obszary, które po kolei omawiał.

Większość powierzchni planety, pokrywał gładki niebieski kolor, oznaczający oceany. Trzy duże kontynenty zaznaczone były brązowym kolorem. Czwarty, zaprezentowany został na biało.

Wskaźnik wycelował w biały obszar.

— Oto jest lodowy kontynent — powiedział komentator. — Na tym właśnie obszarze, zbiegają się prądy powietrzne atmosfery Wenus. Jego najwyższy szczyt ma wysokość dwudziestu trzech tysięcy, ośmiuset siedemdziesięciu stóp, nad poziomem morza. Podobnie jak lodowce na Ziemi, góra ta spływa, rozprzestrzeniając się we wszystkich kierunkach. Na zewnętrznych krańcach kontynentu, odłamują się wielkie góry lodowe, dryfujące w kierunku strony dosłonecznej.

— Wątpliwe jest, czy pod tą masą lodu, kontynent posiada jakiś obszar lądowy, który wznosiłby się ponad poziom morza, gdyby cały lód uległ stopieniu. Wzdłuż jego brzegów żyją liczne stworzenia morskie, podobne do naszych fok i morsów, ale znajdują one swe pożywienie raczej w oceanach, niż na lodzie. Na lodowym kontynencie, nie zaobserwowano żadnych ptaków.

Wskaźnik na ekranie przesunął się przez ocean, na największy z trzech kontynentalnych obszarów lądowych.

— Ten kontynent — mówił dalej komentator, — nazywa się Winkum. Pozostałe dwa nazywane są Blinkum oraz Nod. Winkum jest jednak największy z całej trójki. Także najlepiej nadający się do życia. Znajduje się na nim wysoki łańcuch górski, nazywany Sierra Corscateh. Góry te rozciągają się wzdłuż krawędzi słonecznej strony planety, chroniąc obszar poza nimi przed promieniami słonecznymi. Blinkum i Nod nie mają tak wysokich gór. W konsekwencji narażone są one na silniejsze opady deszczu, powierzchnię lądu pustoszą gwałtowne burze, zaś energia promieniowania słonecznego, czyni większość ich obszaru zbyt gorącym

dla form życia, które można znaleźć na Wenus. Z pewnością, jest to niepożądane z naszego punktu widzenia.

Opuścił koniec swojego wskaźnika, opierając go o stopę i przyglądając się z ekranu widowni.

— Reszta tego filmu — oznajmił, — poświęcona będzie scenom sfilmowanym na powierzchni, przez kamery pierwszej ekspedycji, użyte w każdym miejscu w którym wylądowała. Zobaczycie państwo przelotne obrazy zamieszkujących Wenus ludzi, przemieszczających się z jednej kryjówki do drugiej. Ujrzycie państwo również znaczną liczbę tych tubylców, w chwili gdy wykonywali oni atak ze wszystkich stron, na statek kosmiczny.

— Pokazane zostanie schwytanie jedynego przywiezionego z powrotem okazu, wenusjańskiej dziewczyny. W trakcie tego wydarzenia straciło życie dwóch naszych ludzi. Zginęli oni osłaniając odwrót swoich towarzyszy, którzy schwytali dziewczynę. Mogę jeszcze dodać do tego, że kamerzysta także został ranny.

Komentator zniknął, zastąpiony przez scenerię dżungli. Jego głos jednak opowiadał dalej.

— Zdjęcia, które państwo widzicie, są znacznie wyraźniejsze i jaśniejsze, niż wyglądało to w rzeczywistości. Do ich uzyskania wykorzystano film podczerwony.

Roślinność dżungli była liściasta i bardzo gęsta. Widać było nieustannie skraplającą się mgiełkę, spływającą po liściach oraz mięsistych pniach większych drzew. Konary i pnie drzew miały niezdrowy biały kolor. Liście były bladozielone, tu i ówdzie, widać było rośliny o czerwonych liściach, a rzadko porozrzucane rosły inne, jasnożółte.

Ziemia pokryta była grubym i gęstym dywanem mchów i paproci. Wszędzie rosły bogato ubarwione grzyby.

Kręciło się mnóstwo ptaków o rozmaitym wyglądzie. W ciągu kolejnej pół godziny nieśpiesznej prezentacji terenu, pojawiło się na nim kilkanaście różnych rodzajów zwierząt.

W końcu, na ekranie po raz pierwszy pojawił się obraz istoty ludzkiej. Był to mężczyzna. Stał na krawędzi dżungli, wysoki, mocno zbudowany, o szerokim ramionach i szczupłej talii. Jego nogi były zauważalnie zbyt długie w stosunku do reszty ciała.

Skóra ciemno błyszczała, połysk nadawał jej pot, albo woda skraplająca się z powietrza.

Ben, spoglądając na film na ekranie, po raz pierwszy poczuł, jakby coś było na nim nie tak z kolorami. Po chwili uświadomił sobie, że nie, wszystko jest z nimi w porządku. To ten człowiek z Wenus miał skórę w kolorze głębokiego indygo.

Kiedy minęło pierwsze zaskoczenie, Ben z intensywnym zainteresowaniem zaczął studiować cechy anatomiczne Wenusjanina. Mężczyzna miał wysokie czoło, ponad nieco zbyt dużymi oczyma, które wyglądały na lekko płaskie. Nos stanowił dominującą cechę twarzy, dosyć

szeroki, z wielkimi, falującymi nozdrzami. Sposób, w jaki nozdrza poruszały się przy oddychaniu, przywodził Benowi na myśl rumaka pełnej krwi.

Postać była zupełnie naga. Nigdzie nie było widać również śladu owłosienia. Nawet oczy zdawały się nie posiadać rzęs i zdecydowanie tubylec nie miał brwi.

Gdyby nie duża, okrągła, metalowa tarcza, w brązowym kolorze, którą Wenusjanin trzymał lewą ręką, za uchwyt złożony z dwu przymocowanych do niej pasków, cienki sznur służący za pas, z zatkniętymi za niego kilkoma nożami z tego samego brązowego metalu, oraz ciężki drewniany młot w prawej ręce, nie byłoby żadnych oznak, że człowiek ten znajduje się choćby na minimalnym poziomie inteligencji.

Stał bez ruchu, przyglądając się kamerze przez pełne dziesięć sekund. Potem raptownie odwrócił się i zniknął w dżungli.

Nie była to jedyna scena z dżungli. Obejrzeli szereg widoków dżungli z powietrza, linię brzegową i dziesięć minut filmu poświęconych łańcuchowi postrzępionych szczytów Sierra Corscateh.

Następnie zaprezentowano im, po raz pierwszy, ludzi z ziemskiego statku, idących po omszałej powierzchni planety. Było ich sześciu.

Jeden z nich niósł małą kamerę filmową. Pozostali trzymali oparte o zgięcie ręki, pistolety maszynowe najnowszego typu.

Mężczyzna z kamerą oddalił się o kilka jardów od pozostałych. Po chwili zmieniło się ujęcie. Widzowie obserwowali teraz całą scenę przez obiektyw małej kamery filmowej, niesionej przez Ziemianina stojącego na powierzchni Wenus.

Nagle zobaczyli niebieski błysk. Widać go było w zaroślach znajdujących się nie więcej niż dziesięć metrów od nich. Zadrżały liście. Ktokolwiek tam był, został zauważony.

Dwóch ludzi upuściło broń na ziemię i rzuciło się na oślep w krzaki, aby pojawić się kilka sekund później ciągnąc ze sobą dziko szamoczącą się postać, wenusjańską kobietę!

Ruszyli od razu w stronę statku, który teraz widać było z boku kadru.

Natychmiast z krzaków wyskoczyło kilku tubylców, trzymających przed sobą swoje wielkie tarcze. Mignął ruch ręki, która na chwilę pojawiła się ponad górną krawędzią tarczy, wyrzucając nóż. Ewidentnie tubylcy celowali przez jakiś wizjer w tarczy i rzucali obok niej lub ponad nią, samemu przez cały czas kryjąc ciało za jej osłoną.

Ich celność była zabójcza. Dwóch z Ziemian upadło, zanim w ogóle zdążyli użyć swoich pistoletów maszynowych. Kiedy po chwili grupująca się ściana brązowych tarcz została zalana ogniem karabinu maszynowego Ziemian, nóż śmignął prosto w obiektyw kamery. Był to niesamowity rzut.

Cała scena przechyliła się dziko, a następnie została zastąpiona przez obraz kręcony ze statku, na którym widać było kamerzystę trafionego i zataczającego się, z nożem sterczącym z ramienia.

Karabin maszynowy spisał się jednak dobrze. Żaden z wojowników nie stał już na własnych nogach.

Wenusjańska dziewczyna, nadal wyrywająca się, ściągana była coraz bliżej statku. Kiedy w pewnej chwili zaprzestała walki i stanęła bez ruchu, na ciemnej widowni rozległy się sapnięcia respektu. Jej figura była absolutnie perfekcyjna. Wysokie, twarde piersi, absolutnie doskonałe, smukłe piękne nogi, szczupła talia.

Jej twarz była ewidentnie kobieca i cechowała się pięknem, które wydawało się niemal niemożliwe, w świetle faktu, że miała szeroki nos, z gniewnie rozdętymi nozdrzami, a na jej całym ciele, nie było widać żadnego owłosionego miejsca.

Kiedy tak stanęła, pełna obcego piękna, gigantyczna bogini, dwóch Ziemian zdawało się niemal bezradnych, w swych próbach zaciągnięcia jej bliżej statku. Potem jej ciało opadło w omdleniu. Dopiero wtedy wszyscy zauważyli, że była ranna. Miała na boku otwartą ranę, z której powoli sączył się gęsty ciemny płyn.

Obraz zniknął z ekranu i na sali zrobiło się jasno. Ze strony znajdujących się na widowni mężczyzn, słychać było mimowolne westchnienia żalu.

— To byłoby wszystko — doleciał głos z tyłu, przywracając ich do rzeczywistości. — Proszę zgłosić się tutaj jutro rano, o ósmej. Zaczniecie panowie uczyć się języka tej dziwnej rasy barbarzyńców.

Ludzie w milczeniu opuszczali pomieszczenie. Wszyscy byli nieco oszołomieni tym wszystkim, co widzieli, w tak krótkim czasie.

— Tak jest.

— Tak jest.

— Tak jest.

Ben Arnold kontynuował żywą, chociaż jednostronną rozmowę z generałem Greenem, czekając aż Jean zejdzie na dół. To miała być ich ostatnia randka przed odlotem na Wenus.

Ben ledwie słyszał, co do niego mówił generał Green. Jego myśli skupiały się wokół tego, co chciał dzisiejszego wieczora powiedzieć Jean. Miał nadzieję, że ona odpowie mu, tak.

Kiedy w końcu pojawiła się na schodach, była idealnym okazem piękna. Ben wstał, żeby ją przywitać.

Wesoło zeszła po schodach, jej głos, witający go, brzmiał mu w uszach jak najpiękniejsza muzyka.

Ben wziął ją za rękę i przytrzymał władczo, prowadząc ją w stronę drzwi.

— Dokąd dzisiaj idziecie? — spytał generał Green.

— Do Clam Cove na pieczone małże i trochę potańczyć — odpowiedział mu Ben.

— No cóż — stwierdził generał Green, — miejcie oczy szeroko otwarte. Czasami w małżach można znaleźć diament, zgubiony przez kucharza kiedy je przygotowywał.

— Chyba chciał pan powiedzieć perłę, panie generale — poprawił go Ben.

— Ha! — parsknął generał Green. — Nawet głupiec powinien wiedzieć, że perły można znaleźć tylko w ostrygach.

Z tryumfalnym chichotem zanurzył głowę w swej gazecie. Ben uśmiechnął się szeroko do Jean i przytrzymał jej otwarte drzwi. Kiedy go już minęła, Ben poszukał w kieszeni i wyciągnął małe pudełeczko z kości słoniowej, w kształcie serca. Trzymał je tak, by Jean nie mogła go zobaczyć.

— Panie generale — powiedział. Generał uniósł wzrok i zobaczył pudełeczko. — Czy o to panu chodziło? — spytał z uśmiechem Ben. Ciągle uśmiechnięty, zamknął za sobą drzwi.

W Clam Clove było pełno. Zdawało się, że każdy spośród półtora miliona ludzi, którzy w ciągu następnych paru dni mieli zaokrętować się na statki kosmicznej flotylli, wybrał sobie akurat to konkretne miejsce na spędzenie ostatniej przepustki ze swoją dziewczyną.

Mając za sobą kolację i godzinę tańca, Ben i Jean wsiedli do samochodu i ruszyli nim w stronę wzgórz otaczających Cove.

To był samochód Jean, ale teraz prowadził go Ben. Dokładnie wiedział gdzie chce pojechać i mocno cisnął na gaz, w obawie że ktoś inny mógłby go tam wyprzedzić.

Nikt tego nie zrobił. Miejscem do którego zmierzał była zatoczka w najwyższym punkcie drogi, w którym wspinała się ona na wierzchołek wzgórza i zaczynała opadać po jego drugiej stronie. Stamtąd był doskonały widok na ocean.

Na niebie nie było nawet jednej chmury. Księżyc świecił w pełni swego majestatu, tkając srebrny dywan, rozciągający się aż po horyzont na wschodzie. Niebo usiane było milionem gwiazd, które wydawały się większe i bliższe niż kiedykolwiek wcześniej.

Ben i Jean przez kilka minut siedzieli w milczeniu, ciesząc się pięknem otaczającej ich scenerii. W przeszłości przyjeżdżali tutaj już wielokrotnie.

Tym razem, to Ben jako pierwszy przerwał ciszę.

— Jean — powiedział miękko.

— Tak, Ben — ośmieliła go.

— Ja… kupiłem dzisiaj pierścionek — oświadczył z wahaniem.

— Tak? — odparła Jean.

— Ja… chciałem powiedzieć — manewrował, — że to jest pierścionek zaręczynowy. Z diamentem. Wiesz, jedną z tych rzeczy, które można znaleźć w małżach. — Jego chichot był wymuszony i słaby.

— Czy to dlatego, że robią małże z ludzi, którzy je kupują?

Oboje się roześmiali. Wyciągnął ramiona i Jean wsunęła się w nie.

— Czy wyjdziesz za mnie, kiedy wrócę? — spytał Ben, głosem stłumionym przez jej włosy.

— Och, Ben, w tylu sprawach jesteś takim głuptasem — odpowiedziała mu Jean. — Szkoda, że nie spytałeś mnie o to wcześniej, tak byśmy mogli pobrać się jeszcze przed twoim odlotem. Oczywiście, że wyjdę za ciebie, kiedy wrócisz.

— Boże — powiedział z żalem kilka chwil później. — Tak się bałem, że mogłabyś odpowiedzieć nie. Po prostu nie rozumiem, jak dziewczyna o zdrowych zmysłach mogłaby chcieć za mnie wyjść. A już szczególnie ty. Jesteś taka piękna, taka cudowna. Mogłabyś mieć księżyc i gwiazdy. Mogłabyś przebierać w facetach dużo lepszych ode mnie, tak że nie mogłem przekonać sam siebie, że chciałabyś wybrać właśnie mnie.

— I tutaj się mylisz, kochany Benie — delikatnie poprawiła go Jean. — Dziewczyna szuka czegoś więcej, niż tylko księżyc i gwiazdy. Szuka miłości i oddania. Czasami może nawet szuka odrobiny uwielbienia. Najbardziej jednak szuka kogoś, z kim będzie się dobrze czuła w domu, kogoś na kogo będzie mogła trochę spojrzeć z góry i trochę z dołu, komu będzie mogła dużo patrzeć w oczy, i kto wywoła w jej sercu delikatny dreszczyk, by czuła lekkie mrowienie, kiedy on na nią patrzy. Kiedy to wszystko znajdzie, jest bardzo szczęśliwa. I ja to właśnie znalazłam, Ben.

— Ja… żałuję, że muszę lecieć na Wenus — wyznał Ben. — Wolałbym zostać tutaj.

— No cóż — odparła Jean, chichocząc. — Tata mówił, że jedynym sposobem skłonienia cię do oświadczyn, jest wysłanie cię w jakieś inne miejsce, tak byś mógł zebrać w sobie wystarczająco dużo odwagi, aby przed wyjazdem poprosić mnie o rękę. A więc, może to właśnie ten przydział na Wenus cię do tego skłonił. Mam tylko nadzieję, że nic ci się nie stanie, tak byś mógł do mnie wrócić.

Na jej czole pojawiła się zmarszczka zatroskania.

— A co mogłoby mi się stać? — stwierdził Ben. — Będziemy równie bezpieczni, jak na Ziemi, a za niecały rok będziemy już z powrotem.

— I będziemy mogli się pobrać — rozmarzyła się Jean. — Będziemy mieli własne mieszkanie na osiedlu mieszkaniowym dla oficerów.

— Ale najpierw wezmę długi urlop — dodał Ben. — Będziemy podróżować i oglądać sobie różne rzeczy. Zobaczymy Wodospady Wiktorii i miasto Tytanów w Południowej Ameryce; wybierzemy się w podróż podmorskim liniowcem, który odwiedza ruiny Lemurii na południowym Pacyfiku, pojedziemy… och, w czasie naszej podróży poślubnej zobaczymy naprawdę mnóstwo rzeczy.

— Tylko wróć do mnie, Ben — gwałtownie powiedziała Jean. — Niezależnie od tego, jak, i jakim kosztem, wróć do mnie. Obiecaj mi to.

— Oczywiście, że wrócę — obiecał Ben. — Oczywiście, że wrócę.

Głos bębna męczarni stawał się coraz mocniejszy. Jego BUM bum BUM bum BUM bum BUM bum, w szaleńczym tempie, huczało w uszach starego człowieka, zagłuszając nawet grzechoczące wibracje starożytnego wentylatora na ścianie poczekalni.

Młodzi podchorążowie siedzący w rozmaitych pozach uprzejmego zainteresowania, zdawali się nie słyszeć tego dźwięku. A przecież, jak oni mogli go nie słyszeć, kiedy był to sam puls istnienia, unoszący się z korzeni wszechświata i przenikający do szpiku kości?

Dotrzymywał on kroku jego oddechowi, biciu jego serca, jego myślom. Cokolwiek by nie pomyślał, odwieczny odgłos towarzyszył temu jako tło – podstawa dla myśli, dla pamięci.

Dwa dźwięki, z których jeden był echem drugiego – odbiciem od wilgotnych, ociekających wodą roślin wenusjańskiej dżungli, drugi, pustym, bezdusznym protestem bębna męczarni najwyższego kapłana. Albo może obydwa pochodziły z tego bębna?

Nie. One tkwiły w jego umyśle, w jego duszy. I pomarszczona ciemnobłękitna twarz nieskończenie starego najwyższego kapłana.

Głos bębna wycofał się, dochodził teraz jakby z bardzo daleka. BUM bum BUM bum BUM bum BUM bum…

Obcy, bezosobowy, mechaniczny, nieodparty…

Flota statków kosmicznych gotowa była już do startu. Wchodzące w jej skład transportowce były zupełnie niepodobne do statku, który jako pierwszy pokonał drogę na Wenus. Prawdę mówiąc, nie były one w stanie bez pomocy oderwać się od powierzchni gruntu, a co dopiero samodzielnie dostać się do stratosfery i zerwać łańcuchy wiążące je z Ziemią.

Mogły tylko wykonać lot międzyplanetarny, po tym, jak zostały wyniesione daleko w kosmos przez jeden prawdziwy statek kosmiczny. Pojazdem tym był oryginalny statek, który dokonał już tego lotu, a teraz leciał ponownie jako statek-matka dla całej floty.

Statek-matka, mający półtorej mili długości i szerokości, oraz jedną czwartą mili grubości w centralnym punkcie, wymagał dla realizacji swoich zadań nosiciela, tak wiele z zasobów energii atomowej Ziemi, tyle rzadkich stopów, czyniących jego kadłub odpowiednio mocnym i odpornym, że zbudowanie drugiego, nie mówiąc już o kilku, czy kilkunastu podobnych, było niemożliwe.

Ten statek miał wynieść wszystkie mniejsze statki na górę, tak by po kolei mogły wyruszyć w drogę na Wenus. Następnie miał polecieć za nimi i krążyć wokół planety, aż nadejdzie czas, aby wynieść je na orbitę, aby mogły wrócić na Ziemię.

Flota Piskląt, jak ją oficjalnie określono, mogła lądować bez dodatkowej pomocy, na każdej planecie posiadającej atmosferę, dzięki wysuwanym skrzydłom i odpornej na zderzenia konstrukcji. Każdy ze statków o własnych siłach mógł nawigować i pokonać trasę na Wenus i z powrotem. Brakowało im tylko urządzeń dostarczających odpowiedniej mocy, do wystartowania z powierzchni planety.

Rankiem, po ostatniej randce z Jean, Ben stał, czytając kartkę papieru, na której widniał jego przydział. Obok niego stał Fred Larkins, trzymając w ręku podobną kartkę.

— Na którym statku będziesz, Ben? — spytał.

— Pisklę Jeden — odparł Ben.

— Ja też — powiedział Fred. — To super. Jak ci poszło z Jean, ostatniej nocy? Widziałem was w Clam Cove. Nie widziałeś świata poza nią, inaczej byłbyś mnie również zauważył.

— Wybacz mi, Fred — odpowiedział przepraszająco Ben. — Ale gratulacje byłyby absolutnie na miejscu. W końcu zdołałem opanować nerwy. Kiedy to wszystko się skończy, mamy zamiar się pobrać.

— No cóż, masz szczęście — oznajmił z zaskoczeniem Fred. — Gratulacje. Przy okazji, bądź jej wierny i pisz do niej codziennie. Wiesz przecież, że kobietom takim jak ona, bardzo na tym zależy.

— Nie martw się, będę… A teraz wynoś się stąd, ty zdrajco! — ryknął Ben z udawaną obrazą. Potem posmutniał. — Boże, nawet o tym nie pomyślałem. Niemal rok, zanim ją znowu zobaczę, czy nawet dostanę od niej list.

— To powinna być ulga — enigmatycznie stwierdził Fred. — Ta blond-lala, którą poderwałem ostatniej nocy, robiła wszystko co mogła, żeby zaciągnąć mnie do łóżka. Nie ma mowy. Kiedy to się skończy, będę bohaterem. Potem mogę zrobić to co będzie dla mnie najlepsze. Znacznie lepsze niż teraz — dodał z satysfakcją.

— No dobrze — niepewnie powiedział Ben, — chodźmy się zameldować. Niech to już będzie za nami. Czuję się więzień, wysyłany do mamra.

— Ja nie wiedziałbym nawet, jakie to uczucie — oświadczył Fred, spoglądając znacząco.

— Przyzwyczaisz się do tego — sucho stwierdził Ben. — Pamiętam, jak po raz trzeci wysyłali mnie do Alcatraz na dożywocie. Kapitan łodzi więziennej w porcie w San Francisco, powiedział wtedy: „Gdzie to rozgorączkowanie, które widziałem u ciebie poprzednim razem, ty oszuście.” A ja mu odpowiedziałem…

— Czy w jakiś sposób mogę się stąd wydostać? — roześmiał się Frank, próbując wyglądać na zdesperowanego.

— Lepiej zacznij się do tego przyzwyczajać, synu — wtrącił się jakiś nowy głos. — Tylko to może utrzymać cię przy zdrowych zmysłach przez następne dziesięć miesięcy.

Ben i Fred odwrócili głowy w stronę przybysza, a potem wyprostowali się w postawie zasadniczej. Był to Georges Ley, dowódca Pisklęcia Jeden i weteran dziewiczej podróży na Wenus.

— Spocznij, panowie — powiedział, uśmiechając się szeroko na widok ich zmieszania. — Poinformowano mnie, że będziecie panowie na moim pisklaku.

— Tak jest — Ben i Fred odpowiedzieli jednocześnie.

— No cóż, panowie, spokojnie — mówił dalej. — Kiedy wystartujemy, pierwszą rzeczą, jakiej się dowiecie, to, że w kosmosie wszyscy jesteśmy grupą istot ludzkich, a nie częścią wojskowej machiny. Jedyną rzeczą, której nie toleruję pod moim dowództwem jest zadzieranie nosa. A teraz idźcie już i zameldujcie się. Mamy wiele spraw organizacyjnych, które musimy rozwiązać przed godziną zero. Liczy się każda minuta.

— Tak jest — energicznie odparli Ben i Fred. Zasalutowali, a następnie odwrócili się z lekkim trzaskiem obcasów i pośpiesznie odmaszerowali.

Georges Ley obserwował jak odchodzą z uśmieszkiem satysfakcji na swojej przystojnej twarzy, o zdecydowanych rysach. Powinni być z nich ludzie.

— W porządku. Proszę przechodzić. Zrobić miejsce dla następnego w kolejce. — Głos kontrolującego oficera był równie rzeczowy, jakby kierował we właściwe miejsce turystów na stacji kolejowej.

Fred i Ben „przeszli", trzymając mocno w dłoniach swoje karty informacyjne, z podążającymi za nimi ordynansami, niosącymi ich najważniejsze bagaże. Autobus, którym mieli pojechać czekał na zewnątrz, przy krawężniku.

— O Jezu, popatrz na to — zauważył z delikatnym zdziwieniem Fred. — Dziewczyny z WAAC!

— To kobiety też z nami lecą? — zawołał Ben.

— Miejmy nadzieję, że tak — żarliwie oświadczył Fred. — Patrząc na obrazki wenusjańskich kobiet, wolę już raczej te nasze. Musiałbym naprawdę myśleć o niebieskich migdałach, żeby poderwać jedną z tych tamtejszych dziewczyn. — Roześmiał się głośno ze swego własnego żartu.

Ben popatrzył na niego krytycznie.

— Wątpię, czy któraś z tamtejszych dziewczyn poświęci ci więcej niż jedno spojrzenie — przyciął złośliwie. — Popatrz tylko na siebie. Masz przecież… pełno kudłów. — Wzdrygnął się realistycznie, wypowiadając dwa ostatnie słowa.

Dwaj mężczyźni wsiedli do wypełnionego już ludźmi autobusu i znaleźli sobie wolne miejsca na tyle. Rozglądali się wokół siebie, rozpoznając większość obecnych w autobusie. Panie z WAAC były starannie omijane wzrokiem. W autobusie jechały cztery kobiety, dwie Amerykanki, jedna Chinka i jedna Rosjanka. Przepisy dotyczące onzwaacs, były bardzo rygorystyczne. Wielu z mężczyzn, pożegnało się z karierą w armii, tylko przez zwykłą rozmowę z którąś z nich, na tematy nie związane bezpośrednio z obowiązkami służbowymi.

Gdyby wyprawa na Wenus zakończyła się katastrofą, a akcja ratunkowa byłaby niemożliwa, obowiązkiem tych, którzy przetrwają, było założenie ziemskiej kolonii na Wenus. To był powód obecności kobiet z WAAC. Jednak do chwili kiedy nie wydarzy się tego rodzaju potężna katastrofa, jeśli w ogóle coś takiego będzie miało miejsce, dyscyplina w armii musiała być utrzymana.

Autobus ruszył, powoli odtaczając się od krawężnika. Jazda do portu kosmicznego miała trwać godzinę. Pasażerowie tęsknie wyglądali przez okna. Prawdopodobnie po raz ostatni przed odlotem z Ziemi, widzieli domy i cywilizowane miejskie ulice.

Musieli zjechać na lewy pas, aby ominąć dwa samochody, które wpadły na siebie. Kierowcy stali obok swych pojazdów, wymachując rękoma i zażarcie się kłócąc. Dzięki tej, tak ludzkiej scence, wyglądających przez okna żołnierzy ogarnęło lekkie rozbawienie.

Stara, dobra Ziemia. Nie ma drugiej planety takiej jak ona, w całym wszechświecie!

W końcu autobus zatrzymał się przed frontem budynku portu kosmicznego. Pasażerowie wysiedli z niego i dwójkami, trójkami,

przemieścili się do poczekalni. Znajdował się w niej błyszczący bar, z lustrzaną ścianą w głębi.

Stała w nim także długa lada z potrawami na obiad. Podłogę zapełniały stoły i krzesełka. Pod jedną ze ścian widać było szafę grającą, jeden z najnowszych modeli, zarówno robiącą ogromne wrażenie, jak i bardzo głośną. Wentylator brzęczał wesoło, pachnąc wręcz fabryczną nowością.

— Panowie, czego sobie życzycie? — spytał barman, uśmiechając się szeroko. — Dzisiaj wszystko jest na koszt firmy.

Fred i Ben zabrali swoje butelki z piwem i przecisnęli się między stolikami, do wybranego miejsca, przy samej ścianie. Kelnerka sprawnie przyjęła od nich zamówienie na kanapki.

Z wolna odprężyli się. To było ostatnie miejsce w domu, przynajmniej jeśli o nich chodziło. Kiedy opuszczą to pomieszczenie, udadzą się bezpośrednio na statek i tam już pozostaną.

— Dlaczego po prostu nie możemy zostać tutaj? — żałośnie spytał Ben. — Pomimo wszystko, co takiego jest na Wenus, czego nie ma na tej planecie?

Westchnął i odchylił swoje krzesło do tyłu, opierając je o ścianę i kładąc stopy na krawędzi stołu.

Dopiero niemal godzinę później, kiedy w poczekalni ludzie upchani byli jak sardynki, pojawił się Georges Ley. Zaraz potem, głośnik wezwał cały personel Pisklęcia Jeden, do przejścia do trzeciej bramki.

Z żalem Fred i Ben opuścili swój stół i przyłączyli się do części tłumu, przemieszczającego się w stronę wyjścia na płytę lądowiska. I to było coś wspaniałego.

Bramka trzy, czy też, jeśli już o tym mówimy, każda spośród pozostałych siedmiu prowadzących na lądowisko bramek, otwierała się na największe widowisko, jakie można było zobaczyć na Ziemi.

W dwu jednakowych szeregach na lądowisku stały identyczne statki kosmiczne, wyglądające ze złożonymi skrzydłami, jak gigantyczne igły do cerowania. Było ich sto pięćdziesiąt, każdy równie wielki, jak oceaniczny liniowiec.

Wydłużony występ z przodu każdego ze statków, który w znacznej mierze nadawał im wygląd igły do cerowania, zawierał teleskopowe skrzydła, pokryte ciężkim pancerzem.

Pod i przed występem na skrzydła znajdowała się głowica antywstrząsowa, masywna stalowa konstrukcja, w której osadzone były wielkie sprężyny amortyzujące, przymocowane do cylindra załogowego.

Cylinder załogowy, stanowił właściwie główną część statku, ale wbudowany był w jego skorupę, jako oddzielny, swobodnie przesuwający się element, opierający się przednim końcem o sprężyny amortyzujące. Przy gwałtownej redukcji prędkości statku, część załogowa hamowała nieco wolniej, z powodu efektu amortyzacyjnego mechanizmu sprężyn antywstrząsowych. Odpowiednie absorbery wstrząsu, wygaszały efekty sprężynowania.

W ogonie statku, po bokach, pod występem ze skrzydłami oraz wchodząc na niego, umieszczone zostały silniki rakietowe, służące do sterowania, oraz w pewnym zakresie do zmiany prędkości.

Płyty poszycia kadłuba w okolicy rufy statku, zostały zaprojektowane tak, aby w ostatnich chwilach lotu, podczas lądowania na planecie posiadającej atmosferę, mogły być odchylane od statku, służąc jako skrzydła ogonowe i hamulce powietrzne, pozwalające statkowi lądować na równej stępce oraz przy bezpiecznych szybkościach. Jednakże urządzenia amortyzujące zostały zaprojektowane tak, że nawet gdyby statek uderzył nosem w zbocze góry, z szybkością dwustu mil na godzinę, nie spowodowałoby to śmierci załogi, pod warunkiem, że ludzie byliby przygotowani na takie zdarzenie i przypięci do łóżek antywstrząsowych.

Każdy ze statków miał przewozić dziesięć tysięcy ludzi i trzydzieści tysięcy ton ładunku. Z pełnym obciążeniem, statek ważył osiemdziesiąt trzy tysiące ton. A zbudowano ich sto pięćdziesiąt! Było to ogromne osiągnięcie pozostającej w pokoju ze sobą planety, wszystkich zgodnie współpracujących narodów.

Tak mówiła teoria i w dużej mierze była to prawda. Prawdziwe kłótnie mogły nadejść później, kiedy każdy z narodów będzie próbował osiągnąć dominującą pozycję na trzech zdatnych do życia kontynentach Wenus.

Ben i Fred jako pierwsi wydostali się z lotniskowego autobusu, który przewiózł ich z bramki trzy do Pisklęcia Jeden. W którą stronę by nie spojrzeć, wszędzie widać było pędzące autobusy i ciężarówki. Większość ładunku została już załadowana, ale w ciągu dwóch dni trzeba było również zaokrętować półtora miliona ludzi – oszałamiające zadanie.

W przedziale wejściowym czekały dwie kobiety z onzwaac, obsługujące autorejestratory. Ludzie parami wręczyli im swoje karty identyfikacyjne. Były one umieszczone pod czytnikiem i w ciągu ułamka sekundy z urządzenia wysuwały się dwie karty informacyjne, zawierające przeznaczone dla nich szczegółowe informacje: numery kabin, obowiązki, rozkłady zajęć, itp.

Następnie wchodzący udawali się do pionowego szybu komunikacyjnego, kierowani przez osoby ze stałej załogi statku do przydzielonych im kabin mieszkalnych.

Ben rzucił walizkę ze swoimi rzeczami osobistymi na jedną z koi w swojej kabinie i poszedł z Frankiem do jego.

— Jak myślisz, co to znaczy? — spytał Ben, wskazując na rząd liter i cyfr na swojej karcie, po oznaczeniu „Przydz.”.

— Hmm — stwierdził Fred. — P.s. lub p.u. To może być przydział specjalny lub przydział służbowy na pokładzie statku. Może to jakiś nowy sposób przydziału do pracy w kuchni. Pewnie każą ci nawadniać suszone ziemniaki. Ale, chwileczkę, coś pominąłem. Dalej jest „meld. do dow. 0:0000”. To znaczy, że masz natychmiast zameldować się u dowódcy!

— Tylko, gdzie ja go znajdę? — nerwowo spytał Ben.

— Pewnie gdzieś to jest w naszych przewodnikach.

Obaj przyjaciele pośpiesznie zaczęli wertować swoje kieszonkowe przewodniki. Nie musieli szukać zbyt daleko. Schematyczny diagram statku, na wewnętrznej stronie okładki, wskazał im właściwe miejsce.

Ben wkrótce je odnalazł i zapukał do drzwi. Zostały one otworzone przez ordynansa, który odsunął się na bok i zaprosił go do środka bogato zdobionej kabiny. Czekając na pojawienie się Georgesa Leya, Ben przechadzał się po grubym luksusowym chodniku, przyglądając się meblom i obrazom na ścianach.

— Ley musi prowadzić naprawdę niezłe życie! — wymruczał z zamyśleniem pod nosem, sam do siebie.

Niemal niesłyszalny odgłos otwieranych drzwi, zasygnalizował przybycie kapitana Leya.

— A więc to pan jest Benjamin Arnold — przywitał go Georges Ley. — No cóż, to nawet lepiej. Chociaż Gretta nie ma specjalnie rozwiniętego poczucia humoru, zobaczy pan, że pańskie nieźle pasuje, do jej.

— Tak jest, panie kapitanie — odparł Ben, przechodząc płynnie do postawy zasadniczej i salutując. Na jego twarzy widać było ciekawość, ale powstrzymał się od zadawania pytań.

Georges popatrzył na niego przez chwilę zagadkowym spojrzeniem.

— Nie zjada pana ciekawość? — spytał, uśmiechając się.

— Tak jest — przyznał Ben i dodał, — ale już dawno temu nauczyłem się, że w onzarmii najszybszym sposobem dowiedzenia się wszystkiego jest trzymanie gęby na kłódkę i słuchanie swoich przełożonych.

— Nudna procedura, ale efektywna — skomentował Georges. — No dobrze, aby zaspokoić pańską ciekawość, Gretta to imię, jakie nadaliśmy wenusjańskiej dziewczynie. Będzie miał pan ten wątpliwy zaszczyt, aby dotrzymywać jej towarzystwa i próbować zdobyć jej zaufanie, w czasie naszej podróży na Wenus.

Georges uniósł rękę do twarzy, by ukryć uśmieszek na niej.

— Zdecydowano, że w tej sprawie będzie pan miał całkowicie wolną rękę — powiedział. — Szczerze mówiąc, wszystko co pan zrobi, będzie przydatne. Jeżeli uda się panu ją w sobie rozkochać, to im mocniej, tym lepiej. Wie pan, z czysto naukowego punktu widzenia, wysoce pożądane byłoby nawet dowiedzieć się, czy obie rasy są ze sobą zgodne genetycznie. Proszę pamiętać, że nie wydajemy panu odnośnie tego żadnych rozkazów, ale proszę kierować się tutaj własnym osądem.

— Słucham! — wykrzyknął Ben. — Proszę na mnie co do tego nie liczyć. Nie mówiąc już o innych sprawach, jestem zaręczony z córką generała Greena. Kiedy wrócę do domu, mamy zamiar się pobrać.

Kapitan podszedł do mahoniowego barku i otworzył go, stając plecami do Bena.

— Wie pan — powiedział, nie odwracając się do niego, — za tę ostatnią uwagę, mógłbym kazać pana rozstrzelać. Myślałem, że to jest zupełnie jasne, że pańskie rozkazy polecają panu zaprzyjaźnić się z Grettą, na

każdej podstawie, jaka uzna pan za możliwą. To już zależy od pana. Ale kiedy dolecimy na Wenus, ona ma jeść panu z ręki. Czy to jasne?

— Czy… czy ona będzie miała na sobie jakieś ubranie? — spytał Ben, a na czole wystąpiły mu paciorki potu.

— Tak — odpowiedział kapitan Ley, — chociaż ona nie przykłada do tych spraw specjalnej wagi. Jest schludna, udomowiona to będzie chyba właściwe słowo, jak mi się wydaje. I cechuje ją instynktowna odraza do brudu. Za każdym razem przed odwiedzinami u niej, będzie musiał się pan ogolić. Nie musi pan jednak ścinać włosów na głowie. Wie, że to jest cecha ciała ludzi z Ziemi.

Odwrócił się i podał Benowi drinka, którego właśnie przygotował.

— Został pan wybrany do tego zadania, z dwóch powodów. Po pierwsze mówi pan lepiej w jej języku, niż inni. Po drugie, ma pan sześć stóp i dwa cale. Jest pan bliżej jej wzrostu, niż ktokolwiek inny z ludzi, którzy opanowali jej język. Krótko mówiąc, ma pan większe szanse pozyskania jej przyjaźni, niż ktokolwiek inny.

— A co z tymi, którzy byli z nią, od czasu kiedy została schwytana? — desperacko spytał Ben.

— Nie polubiła nikogo z nich — z niesmakiem stwierdził Ley. — Równie dobrze mogę panu wyjawić, że ja także byłem jednym z tych, którzy próbowali pozyskać jej przyjaźń i nie udało mi się to. Toleruje mnie. To wszystko. Z tego powodu wyznaczono mnie na dowódcę Pisklęcia Jeden. Jestem jedynym człowiekiem, którego ona toleruje i którego słucha.

— No cóż — Ben nerwowo obracał w palcach swoją szklaneczkę z alkoholem. — Myślę, że rozkaz, to rozkaz. Dołożę wszelkich starań, żeby zaprzyjaźnić się z Grettą, ponieważ zdaję sobie sprawę, że to może oznaczać różnicę między pokojem i wojną z Wenusjanami. Ale jeśli chodzi o cokolwiek więcej, nie zrobię nic!

— To było trochę zbyt wiele, aby można było tego od pana oczekiwać — powiedział Georges Ley z kiepsko udawanym rozbawieniem. — Otrzymałem jednak rozkaz, aby panu to zasugerować. Proszę zapomnieć o tym, że cokolwiek na ten temat mówiłem, dobrze?

— Oczywiście, panie kapitanie — z szacunkiem odparł Ben. — Kiedy mam zacząć?

— Od razu — powiedział kapitan Ley. — Proszę skończyć swojego drinka i przedstawię jej pana. Ma następną kabinę, zaraz za moją.

— Od, tak sobie, ha! — wymamrotał pod nosem Ben, wypijając resztę alkoholu jednym haustem.

Podszedł za kapitanem Leyem do drzwi z boku pomieszczenia. Kapitan przekręcił klucz i otworzył je. Pomieszczenie po drugiej stronie drzwi było równie luksusowo urządzone jak jego kajuta.

Osoba, która na ich widok wstała z wygodnego krzesła, aby się z nimi przywitać, była po prostu „cudem niewidem”, zgodnie z potocznym określeniem. Wyobraźmy sobie proporcjonalnie zbudowaną kobietę, o wzroście siedmiu stóp, całkowicie łysą, nawet pozbawioną powiek, czy

rzęs. Wyobraźmy sobie jej piękną, kobiecą twarz (jeśliby zakryć czymś jej szeroki nos, z dużymi, rozszerzonymi nozdrzami), z aksamitnymi, ciepłymi wargami, wielkimi gorącymi oczyma, muszelkowatymi uszami, krzywizną szczęki i podbródka, której mogłaby jej pozazdrościć miss Ameryki. I ciałem, którego z pewnością by jej pozazdrościła, tylko częściowo osłoniętym przez specjalnie uszyty mundur onzwaac.

A teraz zakryjmy twarz, a przyjrzyjmy się samemu nosowi. Wyglądałby on, jak skrzyżowanie nozdrzy miniaturowego konia i nosa goryla. Wyrazisty, zwierzęcy, zwłaszcza w uderzającym kontraście do piękna reszty twarzy.

Wyobraźmy sobie dalej widoczne fragmenty skóry tego stworzenia – skóry nie białej, smagłej, żółtej, czy czarnej, ale w kolorze głębokiego indygo. Pozbawione najmniejszej skazy białe zęby i niemal czarny język, widoczne w jej ustach, kiedy otworzyły się w uśmiechu. To była dziewczyna z Wenus. Jak dziobak – coś, co po prostu nie może istnieć.

W pierwszych paru minutach zapoznawania się, Ben poczuł, że w oczekiwaniu na to spotkanie był przez nią „rozpracowywany”. Wydawała się go lekko kokietować, była bardziej niż trochę samoświadoma swej urody, a mięśnie jej twarzy doskonale wykorzystywały uniwersalną mowę min i wyrazów uczuć. Ma bardzo miły uśmiech, pomyślał. Jej głos był znacznie bardziej sympatyczny, niż to się zdawało na zarejestrowanych taśmach językowych. I nawet nos, wydawał się jakoś „pasować” i wyglądał naturalnie. Być może dlatego, że była przyzwyczajona do jego posiadania.

Wbrew swojej woli, Ben poczuł wewnętrzne odprężenie i zaczął cieszyć się tym spotkaniem. Nawet pochwycił się na myśli, że to zadanie specjalne, może nie być wcale takie złe.

Zorientował się, że wymawiając jej imię, „e” w Gretta powinno być wypowiadane jednocześnie jak głoska „i” w słowie mina oraz „u” w słowie uniwersalny. Brzmiało to jak wydłużone niemieckie „u umlaut”. Natomiast „a” na końcu, nie było tak naprawdę wymawiane jak „a”, lecz jako nieco wybuchowe zakończenie ostrego „t”. W taki właśnie sposób je wymawiała i dźwięk ten miał w sobie tyle piękna, że niepomiernie go to zaskoczyło.

Zorientował się, że jest krępująco świadomy kształtów jej ciała i trochę się rozgniewał na siebie za to uczucie. Ona była wcieleniem kobiecości. Otaczająca ją kobieca aura wywoływała u niego lekkie dreszcze na skórze, rozjaśniając mu głowę. Język, którego uczył się z takim wysiłkiem z nagrań, zaczął żyć w jego umyśle, kiedy mówił w nim do Gretty, albo słuchał słów przez nią wypowiadanych. Nie wiedział nawet, kiedy Georges Ley opuścił pomieszczenie. Zrozumiał ze wstrząsem, że ta wenusjańska kobieta mogła go tak zaabsorbować, że nie zauważył czegoś takiego.

Gretta podchodziła bardzo beztrosko, do kwestii pociągania sukienki do dołu, kiedy od czasu do czasu przesuwała się na swoim krześle i wydawała się zupełnie nieświadoma spojrzeń Bena, na które nic nie mógł poradzić. Zdał sobie sprawę, że znacznie wygodniej czułaby się w ogóle

bez sukienki. Myśl, że kiedy już się lepiej poznają, mogłaby ją zrzucić, jako niewygodne utrapienie, wywołała na jego plecach dreszczyki obawy i przyjemności.

Potem zmusił się do skupienia uwagi na jej nosie, tak by pamiętać, że ona nie była człowiekiem, w takim sensie jak on rozumiał to słowo.

Wyszedł z tego pierwszego spotkania, z myślami krążącymi bezładnie i rozkosznie. Nie pamiętał ani jednego słowa z tego o czym rozmawiali, ku swemu wielkiemu zażenowaniu, kiedy kapitan Ley go o to zapytał. Wszystko, co był w stanie sobie przypomnieć, to jej dynamiczne, żywe ciało, ciepłe zainteresowane oczy, wargi o subtelnym wyrazie, symfonia w kolorze indygo. A przede wszystkim, czymże jest kobieta, jeśli nie symfonią, melodią formy i wyrazu? Kobietę można znaleźć we wdzięku kocicy, figlarności szczeniaka-suczki, gracji i pięknie klaczy pełnej krwi, czy też tańcu dziewczyny z haremu albo hollywoodzkiej gwiazdy. A Gretta uosabiała je wszystkie, w rozkosznym nowym sosie obcości i kontrastów. Była Kobietą przez duże „K”.

Następne dwa dni spędzili na niemal nieustannych ćwiczeniach procedur alarmowych. Każdy członek załogi i wszyscy pasażerowie musieli się zaznajomić z tym co powinni zrobić, jeżeli jakaś część statku zostanie uderzona w kosmosie przez skałę. Podczas działań ćwiczebnych, całe sekcje statku były odrębnie uszczelniane, a między izolowanymi przedziałami ustanawiano kanały komunikacji.

Procedury pierwszej pomocy, dla ludzi uwięzionych w trakcie tego rodzaju wypadków, w nagle ewakuowanych pomieszczeniach, musiały zostać przećwiczone przez każdą osobę na pokładzie. Wszyscy byli uczeni jak wypuszczać powietrze z płuc, aby ich klatka piersiowa nie eksplodowała, kiedy powietrze w przedziale, w którym przebywali nagle zacznie uciekać przez dziurę w poszyciu. Mówiono im szczegółowo o procesach fizycznych mogących zachodzić w ich ciałach. Że ich oczy mogły zostać boleśnie wypchnięte z oczodołów, co należało pozostawić w spokoju, do czasu kiedy będzie mógł się zająć tym lekarz. Że ich krew mogła wydostawać się przez skórę i wytwarzać nieznośne uczucie nakłuwania szpilką, na całym ciele. Musieli zapamiętać, jak dostać się do swoich szafek, zawierających skafandry kosmiczne; w jaki sposób zakładać je na siebie, po omacku, nie korzystając ze wzroku. Musieli się dowiedzieć jakie ciśnienia mogą wytrzymać w pierwszej chwili i w jaki sposób zmusić swoje płuca do ponownego przyjęcia powietrza.

Wszystkim rozdano małe, zamknięte w cukierkach kapsułki na łańcuszku, które mieli nosić na szyi. Zawierały one silny narkotyk, nieco podobny do kodeiny, który był w stanie stłumić ból bez utraty przytomności. Narkotyk ten pozwalał na utrzymanie stanu świadomości, na dostatecznie długi czas, aby dostać się bezpiecznie do skafandra kosmicznego, w próżni kosmicznej.

W krótkim czasie, dziesięć tysięcy znajdujących się na pokładzie ludzi, stało się jedną wielką rodziną. Wszyscy nosili na rękawie wielką „jedynkę”,

naszytą na plakietce. Rozwinęli w sobie lojalność do statku i wkrótce zaczęli układać plany wyzwania innych statków na mecze piłkarskie, które będą urządzane na powierzchni Wenus.

Nadeszła godzina zero. Wszyscy na pokładzie poczuli pierwsze ruchy ich statku, kiedy wtaczano go po rampie na gigantyczny statek-matkę. Czuli jak ich statek zaczyna unosić się skosem do góry, przesuwając się coraz dalej po pochylni, a następnie usłyszeli uderzenia kolejnych klamr, które z hukiem zatrzaskiwały się na kadłubie Pisklęcia Jeden, przytrzymując ich statek we właściwym miejscu.

W końcu poczuli, że ich ciężar rośnie na skutek przeciążenia, kiedy statek-matka zaczął wynosić ich w kosmos. Wystartowali! Nic nie było widać. Tylko kapitan Ley i jego oficerowie mogli widzieć co się dzieje na zewnątrz statku, w czasie tej podróży w kosmos. Tym niemniej, świadomość, że za jakąś godzinę, dwie, znajdą się daleko ponad atmosferą Ziemi, gotowi do wystrzelenia przez statek-matkę, aby o własnych siłach ruszyć przez międzyplanetarną pustkę na Wenus, wzbudzała u wszystkich na pokładzie prawdziwy dreszcz podniecenia.

Potrafiliby zwizualizować każdy krok na tej drodze, ponieważ oglądali ją całą na filmie animowanym, w czasie okresu szkolenia wstępnego. I każdy z nich widział kiedyś również statek-matkę.

Wiedzieli, że nosiciel musiał być taki ogromny, gdyż inaczej nie mógłby działać używany przez niego napęd. Różnica napięć elektrostatycznych między płytami nośnymi i przednim pędnikiem, wynosiła tak wiele milionów volt, że gdyby statek był choćby odrobinę mniejszy, spowodowałoby to powstanie zabójczych łuków elektrycznych.

Nikt nawet nie zauważył, kiedy zostali wystrzeleni z ogromnego statku nośnego, zostało to wykonane tak gładko i delikatnie. Gdy przez interkom zabrzmiał melodyjny dzwon okrętowy, sygnalizując „o własnych siłach", rozległy się okrzyki niedowierzania. Jak mogliby lecieć o własnych siłach? W ogóle nie czuli, że się poruszają, nie było nawet żadnego zgrzytu, czy szarpnięcia, kiedy uwolnili się z cum, trzymających ich w uchwycie większego pojazdu-matki.

Tylko gdyby ktoś znalazł się blisko ścian różnych przedziałów, mógłby się zorientować, że na statku nie działa normalna siła grawitacji. Pojawiało się wtedy uczucie lekkości oraz zawroty głowy[1].

— **J**ak na razie, wszystko w porządku — zauważył Fred. — Jesteśmy już tydzień w podróży i nic w nas do tej pory nie trafiło.

[1] Urządzenia sztucznej grawitacji, wykorzystane na tych statkach, działają mniej więcej w taki sam sposób, jak magnes działa na elektrony w drucianej cewce. Tworzą one różnicę potencjału w kierunku płyt podłogowych, która spycha każdy atom, znajdujący się ponad tą podłogą, do dołu, wywołując zwykłe efekty grawitacyjne, działające na każdy obiekt. Samo urządzenie generuje zawirowanie grawitacyjne, analogiczne do pola magnetycznego. Pole nie może być rozłożone jednostajnie, i zostało zaprojektowane tak, aby obszary o słabszym oddziaływaniu znajdowały się przy ścianach, gdzie nie jest ono tak bardzo potrzebne (przyp. autora).

Popatrzył na Bena, który ospale wpatrywał się w kosmos i w oczywisty sposób nie zwracał na niego uwagi.

— Ben, co się z tobą dzieje? — spytał, zirytowany. — Dziwnie się ostatnio zachowujesz. Nie mów mi tylko, że zakochałeś się w tej niecywilizowanej dziewusze z Wenus! Nie wydaje mi się, aby Jean była z tego zadowolona.

— Zatrzymaj swoje uwagi dla siebie — sztywno odparł Ben. — Jeżeli już o tym mówimy, to moim zdaniem Wenusjanie mają większe prawa do określenia cywilizowani, niż my. A ponadto, jeśli chcesz wiedzieć, to ten brutalny atak wcale mi się nie podoba. Uważam, że znacznie więcej moglibyśmy osiągnąć, wysyłając niewielką ekspedycję, przybywającą w duchu przyjaźni.

— Ale, czy my nie przybywamy w przyjaźni? — spytał Fred, ze szczerym zdziwieniem w głosie.

— Bzdury — parsknął Ben. — Po co więc bierzemy ze sobą półtora miliona ludzi, z pełnym wyposażeniem bojowym. Zapamiętaj sobie moje słowa: Pierwsze próby przyjaznych kontaktów nastąpią dopiero po zabezpieczeniu sobie pewnego przyczółka na planecie, nie wcześniej.

— No pewnie — odparł Fred. — Tak przecież dyktuje zdrowy rozsądek. Wenusjanie to tylko koczownicze bandy dzikusów. Nie mają żadnego rządu centralnego, z którym można by rozmawiać. Nie możemy działać inaczej. Musimy najpierw zabezpieczyć nasze pozycje, a potem próbować nawiązać z nimi przyjazne stosunki.

— Z takiego sposobu postępowania nie może wyniknąć nic, poza kłopotami — pesymistycznie stwierdził Ben. — Wenusjanie mają rząd centralny. Opiera się on na regule religijnej, z pewnością, ale utrzymuje władzę absolutną. Jeżeli nie nawiążemy przyjaznych kontaktów z nim, nie osiągniemy nic z lokalnymi plemionami. Zobaczysz.

— Hej! Po której stronie ty jesteś? — zażartował Fred.

— Oczywiście, po naszej — odpowiedział Ben. — Nie znaczy to jednak, że zgadzam się ze wszystkim co robimy. Czytałeś może trochę na temat ziemskiej historii? Chodzi mi o sposób, w jaki biała rasa wchodziła na dany teren i niszczyła wszystko, co było istotne w związku z zamieszkującą go cywilizacją, zanim w ogóle zaczęła ją badać? To zawsze odbywało się w taki właśnie sposób. Najpierw wkraczaliśmy i przejmowaliśmy kontrolę, niszcząc drugą stronę. Następnie wysyłaliśmy biznesmenów i misjonarzy, aby industrializowali i chrystianizowali tamten kraj. Potem, kiedy zaczynał on wyglądać jak podwórze w Broxie, maszerowali do niego archeolodzy i inni naukowcy, rozbijali się po nim samochodami i wyjeżdżali z książką na temat samego kraju, jego kultury, pozostałości historycznych i religii. Tak samo wszystko będzie wyglądało również i teraz, ale tym razem zrobimy to z całą planetą. Nie podoba mi się to.

— No cóż — zauważył praktycznie Fred. — Nic nie możesz z tym zrobić. Musisz wykonywać rozkazy, a więc przestań jęczeć. Ja również mam swoje rozkazy i mam zamiar wykonać je, co do ostatniego słowa. Nie mam najmniejszego zamiaru dać się zaciągnąć w stronę zdrady nawet całej gromadzie wielkich niebieskich nochali. Ha, ha! A to dopiero dobre!

Przyjrzał się zatroskanej twarzy Bena.

— No cóż, po bliższym przyjrzeniu się, może wcale takie nie jest — przyznał kulawo. Mówił dalej w bardziej serdecznym tonie. — Posłuchaj, Ben. A może przestałbyś brać wszystkie problemy z Wenus na swoje barki. Pisz swoje raporty, rób oficjalne rekomendacje i przestań się zadręczać.

— O.K., Fred — odparł Ben. — Przynajmniej więcej już nie będę cię nimi kłopotać.

Ben i Fred szczerzyli właśnie do siebie zęby w uśmiechu, kiedy statek nagle zatoczył się, zwalając ich z nóg.

— Co to było? — krzyknął Fred, próbując się czegoś złapać.

Nastąpiły kolejne trzy szarpnięcia, które rzuciły ich z hukiem na ścianę.

Z interkomu dobiegła seria ostrych gwizdów, z których wynikało, że przedziały G i N zostały przebite.

Ben ostrożnie pozbierał się i stanął na nogi, pochylając się nad Fredem. Fred stracił przytomność, znokautowany uderzeniem, ale otworzył oczy, kiedy Ben próbował go przenieść na najbliższą koję.

Interkom zabulgotał a potem usłyszeli:

— Przedziały G i N przebite uderzeniem meteoru. Zająć stanowiska alarmowe. Mogą być kolejne trafienia. Znaleźliśmy się w niespodziewanym obszarze asteroidowym. Zająć stanowiska alarmowe.

Niemal natychmiast interkom wyrzucił z siebie jeszcze:

— Porucznik Arnold, natychmiast zameldować się u kapitana Leya!

— Muszę iść — powiedział Ben. — Wszystko z tobą w porządku, Fred?

— Pewnie — słabym głosem odparł Fred. — Tylko potężny guz na głowie. Za chwilę dojdę do siebie. Idź już.

Ben zaniepokojony wyszedł pośpiesznie z kabiny i ruszył dobrze znaną drogą. Kiedy wpadł do kabiny kapitana, Georges Ley bez słowa wskazał ręką na drzwi kajuty Gretty, a potem odwrócił się z powrotem do swojego biurka i telefonu. Przeżuwał z niepokojem koniec cygara, przysłuchując się meldunkom z pomieszczenia pilota, na temat znajdujących się na zewnątrz asteroid.

Ben nie tracił czasu. Otworzył drzwi do kabiny Gretty, spodziewając się, że zastanie ją w histerii. Tymczasem przyjęła go z wyrazem radości na twarzy.

— Czy jesteśmy już na Wenus? — spytała go. — Czy te wstrząsy… czy to znaczy, że już dolecieliśmy na miejsce?

— Nie, Gretto — powiedział Ben, który odetchnął z ulgą, widząc, że nie była wystraszona. — To tylko zderzenie z jakimiś skałami. Przed nami jeszcze długa droga, zanim znajdziesz się u siebie w domu.

— No cóż — wzruszyła z rezygnacją swymi gładkimi ramionami, — to nie ma znaczenia. Dopóki ty jesteś ze mną, to nieważne kiedy dolecimy.

Obrzuciła go spojrzeniem gorącej sympatii, a potem nieśmiało odwróciła wzrok.

Ben widział, że w ciągu ostatniego tygodnia, Gretta bardzo się zmieniła. Z jednej strony stała się bardziej kobieca, w ziemskim tego

słowa znaczeniu, z drugiej, w jej stosunku do niego pojawiła się aura pewnej nieśmiałości.

Kapitan Ley musiał pokazać jej taśmy z filmami opisującymi zachowanie ziemskich kobiet, ich sposób ubierania się, sposób chodzenia, itd. Ćwiczyła całymi godzinami to, co na nich oglądała. Zanurzyła się w garderobie pełnej specjalnie dla niej uszytych ubrań, które wcześniej pogardliwie ignorowała.

Widoczna szczerość jej ewidentnej miłości do Bena i próby, którą podjęła aby upodobnić się do dziewcząt z Ziemi, powodowała, że nie sposób było sobie z tego żartować.

Ben, widząc jak teraz odwróciła swój wzrok, poczuł lekkie dławienie w gardle. Nienawidził sam siebie, za to że nic nie zrobił i pozwolił Grettcie zakochać się w nim. Nienawidził kapitana Leya, za to, że wybrał go do przekabacenia jej na członka piątej kolumny. Szczerze przyznawał w duchu, że on również coraz bardziej kocha tę wenusjańską dziewczynę. Wmawiał sobie, że to jest takiego rodzaju miłość, jaką mógłby czuć w stosunku do psa lub kota. Wiedział jednak, że nigdy by nie doświadczył tego dławiącego uczucia w gardle, na widok małej kotki, która go kocha i czci ziemię po której stąpa.

To, co wcześniej służyło za zimny prysznic – dłuższe spojrzenie na obco wyglądający nos Gretty oraz jej łysą głowę – teraz przestało już działać. Przeciwnie, jej nos zaczął wyglądać pięknie, tak jak powinien, a brak włosów nie wydawał się już deformacją, ale służył do uwypuklenia piękna konturu jej wspaniale ukształtowanej głowy.

Impulsywnie wyciągnęła rękę i chwyciła go za dłoń, prowadząc go do krzesła.

— Zagrajmy w szachy, Ben — zaproponowała. — Wiem, że to nie jest twój zwykły czas na odwiedziny u mnie. Pewnie kapitan Ley myślał, że wystraszyłam się i przysłał cię, abyś mnie uspokoił. Jeśli tak było i on wejdzie tu do nas, zawsze możesz mu powiedzieć, że gra w szachy jest jedyną rzeczą, która może mnie uspokoić.

— Skoro nie jesteś wystraszona, to lepiej sobie pójdę i zobaczę, czy w czymś nie mogę pomóc — niepewnie powiedział Ben.

— Jeśli to zrobisz, zacznę krzyczeć — oznajmiła Gretta. — Wtedy Ley rozkaże ci wrócić do mnie. Poza tym, tam na zewnątrz jest dziesięć tysięcy ludzi i z pewnością mogą się bez ciebie obejść.

Pchnęła go figlarnie na krzesło, a potem pochyliła się nad nim i pocałowała go. Był za bardzo zaskoczony, aby zrobić coś więcej, niż tylko zmierzyć ją wzrokiem.

Wyprostowała się i spojrzała na niego z góry.

— To było przyjemne, co? — spytała go. — Nauczyłam się tego z filmu, który oglądałam dzisiaj rano. Czy to właśnie ziemskie dziewczyny robią, kiedy… — Raptownie odwróciła się, podeszła do szafki i wyciągnęła z szuflady szachownicę i pudełko z szachami.

— Rozchmurz się, Ben — powiedziała, kiedy wróciła do niego. — Ostatnio zawsze wyglądasz na bardzo smutnego. Wiem, jeśli mnie pokonasz, zatańczę dla ciebie. Dziewczyny na Ziemi tańczą, i tak samo robimy my, na Wenus. Czy to by ci się podobało? — Popatrzyła na niego żałośnie.

— Oczywiście, Gretto — odparł Ben, z wysiłkiem starając się, by jego uśmiech wyglądał na spontaniczny,

— A więc, nie będę czekać aż pokonasz mnie w szachach — oznajmiła stanowczo. — Jeszcze nie widziałeś, ja tańczymy na Wenus. Pokażę ci.

— Poczekaj. — Pobiegła do drugiego pomieszczenia i wróciła z bębnem zrobionym z trzystopowego kawałka czternastocalowej rury i dwóch arkuszy cienkiej skóry. — Namówiłam kapitana Leya, żeby przyniósł mi materiały na niego, z magazynów statku. Dalej już zrobiłam go sama. Zagraj na nim coś takiego.

Zadudniła delikatnie na bębnie w określonym rytmie. Ben, zadowolony, że ma coś do roboty, pochwycił ten rytm już po kilku próbach. Gretta przez chwilę przysłuchiwała się krytycznie jego grze i wydawała się usatysfakcjonowana tym co usłyszała.

Zaczęła tańczyć. Powolnymi, rytmicznymi ruchami, o krótkich kroczkach.

— To jest taniec M'Bong-ah — wyjaśniła mu. — Taniec świątynnych dziewcząt, dla Bóstw Wenus. Wszystkie musimy się go nauczyć, gdy jesteśmy małe, ponieważ żadna z nas nie wie kiedy zostanie wybrana, aby tańczyć w którejś ze świątyń. Dlatego każda z nas musi być gotowa.

Gretta nieznacznie zmieniła formę tańca.

— Ten taniec jest dla wielkiego Boga Lodu, żyjącego pośród wód — wyjaśniała dalej. — Każdy kapłan musi udać się w pielgrzymkę łodzią, do siedziby Boga Lodu. Jeżeli nie powróci, a wielu nie wraca, uważa się, że nie zdołał Go zadowolić.

Nagle jej palce nerwowo zaczęły odpinać guziki sukienki, którą miała na sobie. Po chwili zrzuciła ją jednym szybkim ruchem, odsłaniając swoje cudowne, giętkie ciało.

— Nie mogę tańczyć, mając na sobie ubranie — oznajmiła. Potem zwinęła się w gwałtownym tańcu, pełnymi wdzięku, posuwistymi ruchami.

— Ten poświęcony jest Bogu Gorąca, który mieszka w Swojej świątyni pod słońcem! — wykrzyknęła. — To najpotężniejsze ze wszystkich Bóstw Wenus. Nikt nie może się do niego zbliżyć, chociaż wielu próbowało.

Ben, wbrew swojej woli, nie mógł oderwać wzroku od jej gładkiego ciała, wirującego i wyginającego się w tańcu. Przestał grać na bębnie, a jednak w jakiś sposób jego rytm ciągle wisiał w powietrzu. Jego świadomość skupiała się wyłącznie na tym błyszczącym, ciemnobłękitnym ciele. Zahipnotyzowała go poezja jego kształtu i ruchów, a serce waliło mu

pod żebrami w rymie bębna: Bum-bum BUM, bum-bum BUM. Paciorki potu poznaczyły mu brwi, ześlizgując się do oczu i oślepiając go.

Otarł pot z oczu wierzchem dłoni.

Dźwięk bębnów męczarni nieustannie huczał coraz bardziej donośnymi, zagłuszającymi wszystko uderzeniami, zalewając mu mózg i stając się częścią życia jego duszy. Głośny. Nie ustanie póki ciągle bije jego serce. Albo, może to jego serce nie może przestać bić, dopóki nie ustaną bębny?

Popatrzył z ciekawością na swoje palce. Były stare i szorstkie. Brudne. Czuł zamieszanie w głowie. To była poczekalnia budynku portu kosmicznego, a nie kabina Gretty na statku.

Powinien trzymać się rzeczywistości. Nie może aż tak bardzo krążyć myślami w oddali. Jego kiepskie oczy spoglądały na krąg twarzy młodych podchorążych, wyraźnie czekających na dalszy ciąg. Czy on im coś opowiadał?

Próbował sobie przypomnieć, czy o czymś im opowiadał. Musiało tak być. Bębny męczarni. Teraz nie były już takie głośne. Nie. Ich dudnienie dochodziło gdzieś z bardzo daleka. Ale, czy w ogóle były to bębny męczarni? Zamknął oczy i spróbował pomyśleć.

Bum-bum BUM, bum-bum BUM.

Jego dłonie uderzały w bęben, tak jakby obdarzone były własną, niezależną wolą. Ciemnobłękitne ciało Gretty tkało na grubym dywanie jej kabiny istną symfonię ruchu.

Niebawem taniec się zakończył. Gretta dopełniła go szaleńczym piruetem, po którym opadała na podłogę na kolana i wyciągnęła swe giętkie ciało w pokłonie, w pozie uniżonego uwielbienia. Utrzymała tę pozycję przez pełną minutę, a potem wstała i pośpiesznie naciągnęła na siebie sukienkę, opuszczając z zażenowaniem oczy.

— Przepraszam, Ben — powiedziała skruszonym tonem. — Ale, po prostu, nie potrafię tańczyć w ubraniu, a tak bardzo chciałam zatańczyć dla ciebie. Wybaczysz mi, powiedz? — Wbiła w niego błagalne spojrzenie.

— Oczywiście, Gretto — uspokoił ją drżącym głosem.

Gretta z wahaniem zrobiła krok do przodu. Wargi dziewczyny drżały, a z jej miękkich brązowych oczu trysnęły łzy, zwilżając ciemnobłękitne policzki.

Jakaś część umysłu Bena, szeptała mu: „Dobry chirurg plastyczny mógłby umieścić w jej nosie kawałek chrząstki i przemodelować nozdrza, tak by były one idealnie ludzkie, a przecież tysiące kobiet musi nosić peruki.”

Nagle Gretta upadła na kolana i złożyła swą głowę na udach siedzącego Bena. Zaszlochała w niekontrolowany sposób, chwytając go spazmatycznie za kolana.

— Och, Ben — łkała. — Kocham cię, a to jest tak pozbawiona nadziei miłość, że wolałabym się nigdy nie urodzić.

Ben wyciągnął do dołu ręce i wsunął dłoń pod podbródek Gretty, obracając jej twarz do góry, tak by mógł spojrzeć jej w oczy. W głowie

szalała mu burza emocji. Popatrzyła na niego na wpół z obawą, błyszczącymi od łez oczyma, a na jej twarzy powoli zaczynała pojawiać się nadzieja.

— Gretta — wykrztusił z trudem.

— Tak, Ben — odparła pozbawionym tchu głosem.

— Ja… ja… ja… Lepiej będzie jak pójdę i zobaczę jakie są rozmiary zniszczeń na statku — powiedział w końcu, wstając pośpiesznie.

Wstała razem z nim. Przez kilka sekund spoglądali na siebie nawzajem. Wtedy nagle, szaleńczo wziął ją w ramiona, wszystkie zmysły zapłonęły mu ogniem.

Jej obca twarz, w kolorze indygo, z szerokimi, rozdętymi nozdrzami, pozbawioną włosów głową i wyrazistymi oczyma, unosiła się w jego wizji ze doskonałą, koszmarną realnością. Gorące, żywe ciało naparło na niego.

Ich wargi spotkały się pożądliwie. Umysł Bena zatoczył się pod napływem zalewających go emocji.

Ocknął się, stojąc z plecami wciśniętymi w drzwi kabiny Gretty. Zupełnie nie pamiętał, jak od niej wyszedł. Jego oddech był chrapliwy i gorący. Czuł się znużony i wyczerpany.

— Muszę spokojnie pomyśleć — powiedział do siebie na głos. Czuł, że musi usłyszeć dźwięk swojego głosu, aby upewnić się, że nadal żyje i to wszystko dzieje się naprawdę.

Kapitan Ley siedział przy swoim biurku, skupiony na jakichś papierach. Zdawał się nie zauważać wyjścia Bena z kajuty Gretty.

Ze znacznym wysiłkiem Ben uspokoił oddech i ubrał twarz w bardziej normalny wyraz. Potem swobodnym krokiem podszedł do biurka Leya.

Georges uniósł na niego wzrok, z zatroskanym uśmiechem.

— Witaj, Ben — powiedział nieobecnym głosem.

— Jakie są rozmiary zniszczeń, panie kapitanie? — spytał go Ben.

— Duże — odparł kapitan Ley. W milczeniu napełnił i przypalił fajkę. Potem zaczął mówić dalej: — Poza tym, że zniszczone i ewakuowane zostały dwa przedziały, szyny prowadzące między kadłubem zewnętrznym a głównym cylindrem, zostały wygięte w trzech miejscach. To oznacza, że każde twarde lądowanie skończy się rozbiciem.

Przez chwilę przygryzał koniec swej fajki.

— Na skutek tego bombardowania mamy czterdziestu ludzi zabitych i siedemdziesięciu trzech hospitalizowanych rannych.

Zadzwonił telefon na biurku. Kapitan Ley podniósł słuchawkę. Przez kilka minut słuchał w milczeniu.

— Będzie pan musiał skierować wszystkie siły, aby to naprawić — powiedział do telefonu. — Trzeba odłożyć inne rzeczy, dopóki się tego nie zrobi.

Ponownie słuchał przez chwilę.

— No cóż, niech pan więc wytnie trochę materiału ze skorupy otaczającej zniszczone sekcje — stwierdził zirytowanym tonem.

Kolejna chwila słuchania.

— Nie obchodzi mnie, nawet jeśli będzie to kosztowało życie dwudziestu ludzi — oznajmił. — Jeżeli nie naprawimy tego na czas, oni i tak zginą. Przecież wie pan o tym.

Odłożył słuchawkę. Jego oczy z zamyśleniem spoczęły na Benie i kilka razy pociągnął z fajki.

— Zespół ogonowy jest paskudnie uszkodzony — poinformował go kwaśno. — Jeżeli nie uda nam się go naprawić przed wejściem w atmosferę Wenus, nie będziemy mieli sposobu na wyhamowanie statku przed lądowaniem. A jeśli dodamy do tego wygięte szyny prowadzące, nie możemy wylądować na twardo i zaufać naszym amortyzatorom absorbującym wstrząs.

— A jeśli nie wylądujemy — dodał Ben, — usmażymy się w Słońcu, ponieważ nie mamy wystarczająco dużo energii, aby zmienić naszą trajektorię, a nawet gdybyśmy mieli, nie mamy dostatecznych ilości środków chemicznych do regeneracji powietrza, na podróż wokół Słońca, tak byśmy mogli ponownie spróbować lądować na Ziemi lub na Wenus.

— To prawda — potwierdził Georges. — Nie ma także możliwości, aby statek–matka przechwycił nas, zanim dotrzemy do Wenus. Do tego czasu nie skończy on nawet wynoszenia wszystkich piskląt z Ziemi.

Uśmiechnął się cierpko.

— Równie dobrze mogę ci to teraz powiedzieć — stwierdził. — Matematycy wyliczyli, że podczas tego lotu na Wenus, dwa pisklęta powinny ulec zniszczeniu. Wygląda na to, że my będziemy w tej dwójce!

— Czy rozumie pan przez to — spytał go Ben, — że jeśli nie uda nam się naprawić ogona, to jesteśmy skończeni?

— Och, wcale tego nie powiedziałem — radośnie odparł Georges. — Zawsze możemy wejść w atmosferę Wenus, latać wokół planety z tym ciężkim ogonem, aż nasza szybkość nieco spadnie. Potem, będziemy musieli wylądować gdzie popadnie, niezależnie od tego czy to będzie ocean, lodowy kontynent, czy środek strefy gorącej. Może nam się uda.

Ben wyszedł z kajuty kapitana i udał się do kwatery Freda. Fred spał. Usiadł i czekał aż się obudzi.

W kabinie było cicho i spokojnie. Pozostałych, przydzielonych do niej ludzi, nie było.

Ben zamknął oczy i próbował wszystko sobie spokojnie przemyśleć. Jedyne co mógł zrobić, to przekląć swój nieszczęsny los; los, który rzucił go w ramiona kobiety swego własnego gatunku, a następnie posłał go w podróż, która pewnie spowoduje, że ją na zawsze utraci; los, który rzucił go teraz w ramiona pięknej, błekitnoskórej, siedmiostopowej gigantki z Wenus, z wielkim zwierzęcym nosem, sercem jak najwspanialszy człowiek na Ziemi i ciałem tak rozkosznie pasującym do jego.

Stwierdził, że myśli w języku Wenusjan, a nie po angielsku i zgromił się za to. Polubił ich język. W pewien sposób, był on znacznie bardziej wyrazisty i naturalny, niż Angielski czy też jakiś inny ziemski język, jaki znał. Nie był specjalnie poetycki. Prawdę mówiąc, w ogóle nie nadawał się

do tworzenia poezji. A jednak był w nim pewien rytm, który pozwalał kreować poezję innego rodzaju, tak jak bęben albo tam-tam tworzy muzykę w inny sposób niż skrzypce.

Był to rodzaj języka natury. Bardzo trudny w mówieniu, a jednak łatwy do zrozumienia. Kiedy mieszało się go z Angielskim, tak jak trzeba było to robić, gdy mówiło się o rzeczach nieznanych na Wenus, na przykład o sukienkach, brzmiał on jak bełkotliwa audycja radiowa, eksperta od łamańców językowych.

Zachichotał i wtedy zdał sobie sprawę, że Fred patrzy na niego.

— Obudziłeś się, Fred? — spytał go.

— Taaa — sennie odparł Fred. — Która jest godzina?

Ben spojrzał na zegarek na nadgarstku.

— Pół godziny do śniadania — odpowiedział.

— A więc, równie dobrze można już wstawać — ziewając stwierdził Fred. — Dzisiaj muszę się ogolić przed jedzeniem. Jeśli będę porządnie ogolony, oszczędzę potem kłopotów grabarzowi.

Przerzucił nogi przez krawędź koi i przeciągnął się leniwie. Potem wstał i podszedł do narożnej blaszanej umywalki. Podczas golenia mruczał pod nosem jakąś melodię. Ben siedział bez słowa i obserwował go. Kiedy Fred się ubrał, obaj wyszli na korytarz, a następnie ruszyli na rufę do sali stołówki.

Po śniadaniu, Fred uśmiechnął się do niego szeroko, pomachał mu żartobliwie ręką na pożegnanie i wyszedł. Takim samym uśmiechem przywitał Bena cztery godziny później, w szpitalu, gdzie Ben przybiegł w odpowiedzi na jego wezwanie.

Fred pracował jako ochotnik w zespole ogonowym, podczas lotu. Promieniowanie kosmiczne było silniejsze, niż myślano. Spodziewano się, że ludzie, którzy spędzą godzinę na pracach w ogonie, będą potem musieli przez tydzień leżeć w szpitalu. Jak się okazało, bardziej odpowiednie będą półgodzinne okresy pracy, połączone z dwutygodniowymi pobytami w szpitalu. Ustalenie tego, kosztowało jednak życie kilku ludzi.

Ben stał z boku, przy łóżku Freda. Nad bezwładną postacią pochylały się pielęgniarki. Kiedy Ben mu się przyglądał, Fred napiął się. Z porów skóry na jego nieskazitelnie białym czole, wystąpiły kropelki potu i perliły się tam jak szklane paciorki. Trwało to może minutę, a potem Fred odprężył się z westchnieniem.

— Zabawne — powiedział do Bena. — Człowiek się rodzi, dorasta, trochę sobie żyje, trochę kocha i wszystko to po to, by mógł spędzić godzinę czasu na reperowaniu ogona.

Pielęgniarka, ubrana w rzeczowy biały strój, trzymała go za nadgarstek. W jego czystych, niebieskich oczach pojawiło się nieobecne dalekie spojrzenie. Skierował wzrok na sufit.

— Co za marnotrawstwo! — wyszeptał głośno.

I tak już pozostał, z częściowo otwartymi ustami, odsłaniającymi równe, białe zęby, z oczami skierowanymi na sufit. Pielęgniarka zmarszczyła brwi, jakby rozdrażniona utratą wyczucia jego pulsu.

— Żegnaj, Fred — delikatnie powiedział Ben i wyszedł z sali. Na korytarzu zawahał się przez chwilę. W końcu ruszył przed siebie, do kajuty kapitana. Georgesa nie było. Przemierzył gruby dywan i otworzył drzwi do pomieszczeń Gretty.

W środku, wyszła mu naprzeciw, aby wziąć go w ramiona.

— Fred nie żyje — powiedział jej po prostu Ben.

Potem położył głowę na piersiach Gretty, a ona przycisnęła go do nich. W jej ramionach znalazł ciepło, którego potrzebował dla uspokojenia swych udręczonych myśli.

„Dzisiaj muszę się ogolić przed jedzeniem. Jeśli będę porządnie ogolony, oszczędzę potem kłopotów grabarzowi” — powiedział rano Fred. Zabawne…

W kolejnych dnach, Ben spędzał coraz więcej i więcej czasu z Grettą, a kiedy nie był z nią, milczał i zamykał się w sobie. Kapitan Ley zauważył to i poprosił psychologa okrętowego, aby nienachalnie przebadał Bena.

Naprawy w części ogonowej, nie szły zbyt dobrze. Nadzieje, że ogon będzie sprawny w czasie kiedy statek pisklę wejdzie w atmosferę Wenus, szybko się rozwiewały.

Nawiązano kontakt z jednym z pozostałych piskląt i przez nie ze statkiem-matką oraz Ziemią. Nikt nie był w stanie dotrzeć do Pisklęcia Jeden na czas, by je uratować. Jednak, jeśli przed lądowaniem udałoby im się utrzymać w powietrzu dostatecznie długo, Pisklę Dwa mogłoby spróbować ich znaleźć i wylądować w ich pobliżu, mniej więcej w tym samym czasie, dzięki czemu mogliby liczyć na pomoc, przyjęcie rannych oraz obronę przed atakami dzikusów.

Wenus każdego dnia robiła się coraz większa. W kabinie pilota, specjalnie zabudowany teleskop, mógł przybliżyć ją na tyle, aby można było dostrzec szczegóły sporadycznie występujących burz stratosferycznych. Wprowadzono poprawki do kursu statku, z którego zostali lekko zepchnięci przez uderzające w nich asteroidy.

Skorygowany kurs miał wprowadzić ich w atmosferę Wenus po stycznej i w takim kierunku, aby mogli uniknąć przelotu nad gorącą stroną planety. Przednie rakiety hamujące powinny zredukować ich szybkość z mniej więcej trzydziestu tysięcy mil na godzinę, do nieco poniżej tysiąca, w chwili kiedy zderzą się z pierwszymi warstwami powietrza.

W miarę jak zbliżał się ten dzień, napięcie na statku narastało. Ben porównywał to w myślach do jazdy kolejką w lunaparku. Było to jak klekotanie wózków, zmierzających w górę stromego zbocza startowego, powoli wciąganych przez stukający łańcuch.

I tak to właśnie odbywało się teraz, tyle że hałas robiony przez łańcuch, zastępował nieustanny gwar rozmów. Już niedługo miało nastąpić odpalenie przednich rakiet. Chwila ta odpowiadała przerwie na szczycie

kolejki, zanim zanurkuje ona w dół. Wydawało się, że nawet słychać głos biletera:

— Trzymać swoje czapki! Zapiąć się w siedzeniach!

Tak też mieli zrobić. Każdy obecny na pokładzie miał przypiąć się do fotela antywstrząsowego, twarzą do rufy statku, wciśnięty mocno w dopasowane do kształtów jego ciała oparcie.

Ben wiedział, że Georges Ley nie sądzi, aby mieli specjalnie wielkie szanse na wyjście z tego z życiem. Zespół ogonowy nie został naprawiony do końca i nie funkcjonował tak jak powinien. Będą musieli zaufać przednim skrzydłom. Statkiem nie będzie można sterować. Będą musieli lecieć tam gdzie on będzie chciał i opaść na powierzchnię Wenus w jakimś miejscu wyglądającym na miękkie.

Radiooperator przesłał wszystkie szczegóły uszkodzeń, przekazując je na Ziemię poprzez łańcuch utworzony z kolejnych piskląt. Już wcześniej zostały zmienione plany lotów dla następnej serii statków. Mnóstwo dobrej roboty wykonanej przez Pisklę Jeden!

Gretta wydawała się rozumieć punkt w jakim się znaleźli. Ben informował ją o wszystkich szczegółach. W miarę jak ostatnia godzina przed wejściem w atmosferę zbliżała się coraz bardziej, spędzał z nią coraz więcej i więcej czasu. Często dźwięk bębna przebijał się przez ściany do uszu Georgesa Leya, kiedy siedział on nad raportami i pośpiesznie bazgrał na papierze obliczenia, próbując znaleźć rozwiązanie dla ich problemów.

Potem, każda godzina, minuta, sekunda, ciągnęły się jak wieczność. Wszyscy byli przypięci w swoich fotelach antywstrząsowych. Georges wcisnął palcem przycisk, który wywołał pierwsze odpalenia rakiet silników hamujących. Rozległ się niski ryk, a następnie posuwisty ruch, któremu towarzyszyła seria rozdzierających trzasków.

Nie było czasu na ich badanie. Silniki odpaliły po raz drugi i trzeci. Statek zaczął się rzucać. Powoli narastał niemal niesłyszalny wizg, kiedy płaty statku zaczęły rozdzierać rzadkie warstwy atmosfery.

W końcu otworzyły się rozkładane skrzydła, dokładnie w odpowiednim momencie. Powietrze, tak rzadkie, że jego gęstość nie przekraczała jednego atomu na stopę sześcienną, uderzyło w skrzydła z mocą potężnego młota, wywołując gwałtowne skoki i kołysania statku.

Kolejne odpalenia rakiet czołowych nieustannie redukowały ich szybkość.

Rzucanie i kołysanie się statku raptownie narastało. Bez skrzydeł ogonowych, stabilizujących pojazd, olbrzymia masa ogona przechylała się do dołu, wystawiając szeroką powierzchnię kadłuba, chwytającą powietrze i unoszącą się zbyt wysoko oraz opadającą, po to by ponownie zostać wybitą w górę przez potężne uderzenia atmosfery.

Ciągle działający interkom obwieścił, że okrążyli już raz planetę i znajdowali się na drugim obiegu. Ich prędkość spadła do tysiąca mil na godzinę i ciągle szybko malała.

Potem nastąpiło uderzenie. Przednia część statku prześlizgnęła się nad postrzępioną krawędzią góry, ale tylna połowa zaczepiła o nią, jak zwisający ogon sztywnego latawca i odłamała się, ciskając w powietrze na wszystkie strony, ciała dwóch tysięcy ludzi.

Przednia połowa zawinęła się do przodu, obracając się wokół osi nieuszkodzonych skrzydeł i cudem uderzyła dziobem dokładnie w sam środek sześciusetakrowego płaskowyżu, położonego wysoko w łańcuchu gór Sierra Corscateh. Drugi cud polegał na tym, że cylinder części załogowej statku przesunął się gładko po swoich prowadnicach i wykorzystał w pełni efekt amortyzujący systemu absorbcji wstrząsów, tak że wielu ludzi nie straciło nawet przytomności.

W ciągu dwudziestu minut, ustawione zostały radiolatarnie i zapalone flary. Niemal tuż po ukończeniu tego zadania, z mgły wyłoniło się Pisklę Dwa, siadając na powierzchni planety bez żadnego zadrapania. Koła podwozia były wysunięte i zaraz po wylądowaniu statek odtoczył się na przeciwległą krawędź płaskowyżu.

Od tej chwili, w dwugodzinnych odstępach czasowych, kolejne pisklęta wynurzały się w postaci ciemnych kształtów we mgle, materializując się po chwili jako potężne statki, lądujące na kołach i spokojnie przemieszczające się na krawędź płaskowyżu, jak samochody na teatralnym parkingu.

Było to gigantyczne, bezosobowe i upiorne widowisko. Gęsta mgła powodowała, że wszystko znikało w odległości kilku stóp i stwarzała iluzję niewiarygodnego skurczenia się całego kosmosu.

Przypadkiem, Pisklę Jeden wylądowało w najbardziej idealnym miejscu, jakie można było wybrać. Tutaj, wysoko w Sierra Corscateh, mogli założyć bazę dla swych działań w przyszłości. Mogli stąd wysyłać samoloty zwiadowcze i oddziały żołnierzy, do czasu kiedy nie rozciągną swej władzy na całą Wenus.

Tutaj byli niepokonani. Żadne siły o jakichkolwiek rozmiarach, nie mogły dostać się w pobliże ich pozycji, nie wystawiając się na zniszczenie. Wątpliwe było nawet, czy tubylcy z Wenus mogliby znaleźć to miejsce.

Panująca tu temperatura była idealna, przyjemne sześćdziesiąt pięć stopni. I, co było chyba największym cudem, gigantyczny statek-matka mógł wylądować na płaskowyżu i z łatwością wynieść wszystkie pisklęta na górę.

Rozpoczęła się ogólna krzątanina, robotnicy zajęli się zadaniem postawienia stałych budynków, wysocy oficerowie zebrali się, aby przedyskutować plany na następnych parę tygodni, a zarówno wysocy jak i niscy chodzili w tą i z powrotem, brudząc buty w ziemi, szczęśliwi że ich podróż przez międzyplanetarną pustkę już się zakończyła i mają pod nogami jakąś ziemię do brudzenia butów.

Stwierdzono występowanie stałego ruchu powietrza o szybkości trzech mil na godzinę. Napływało ono w górę zbocza z ciemnej strony planety, przelewało się przez wysokie góry i spływało na tereny na których słońce

ponownie je podgrzewało i wypełniało je parą wodną o wysokiej temperaturze.

Rozesłano wyprawy zwiadowcze, z zadaniem przebadania otaczających ich wzgórz w poszukiwaniu pokładów rozmaitych surowców. Jedną z najbardziej poszukiwanych rzeczy był cement, niezbędny do budowy wielu betonowych konstrukcji, jakie miano postawić. Materiału tego nie zabrano z Ziemi, ponieważ wiadomo było z całą pewnością, że na Wenus występują bogate zasoby skał, z których cement jest wytwarzany.

To był pracowity dzień dla wszystkich, którzy posiadali jakąś specjalność; niezależnie od tego, czy była to meteorologia, geologia, fizyka, czy chemia.

Mnóstwo materiałów do dalszej pracy i badań, mieli również biolodzy. Sam płaskowyż pokryty był gęstym dywanem dosłownie setek gatunków roślin. Występowało na nim wiele owadów, a od czasu do czasu udawało się wytropić i schwytać żywcem jakieś zwierzęta ciepłokrwiste.

Pośród tego wszystkiego Gretta, rodzima Wenusjanka, krążyła w milczeniu, obserwując co się dzieje z wielkimi oczyma, zawsze w towarzystwie nieodstępującego jej Bena.

Z Benem u boku, często godziła się na długie sesje rozmów z innymi studentami języka wenusjańskiego. Opowiadała im wiele historii z życia i religii tubylców, o ich pożywieniu, zwyczajach.

Planowano, aby wysłać ją z Benem i kilkoma innymi ludźmi potrafiącymi mówić po wenusjańsku, na pokojową wyprawę na niziny. Gdyby zdołali się skontaktować z pobliskimi plemionami i przekonali je o przyjaznych intencjach intruzów z Ziemi, plemiona te mogłyby rozpowszechnić wieści i ułatwić sprawy, kiedy z Ziemi przybędzie więcej ludzi i rozpocznie się systematyczna kolonizacja.

W ten sposób minęły trzy miesiące. Działała już cementownia, wszędzie wyrastały budynki z prefabrykatów. Ogromne maszyny przekształcały spowite mgłą tereny w cywilizowany obszar z betonowymi ulicami i budynkami. Pomimo mgły, nasłonecznienie było całkiem spore i spodziewano się, że bogata paleta roślin z Ziemi przyjmie się tutaj, czyniąc tę pierwszą pozaziemską kolonię, samowystarczalną.

Nadszedł dzień, w którym Gretta i Ben mieli wyruszyć w dół zboczy górskich, w towarzystwie małej armii żołnierzy, których oficerowie mówili po wenusjańsku. Żołnierze stali w uporządkowanym szyku, czekając na rozkaz do wymarszu. Na przedzie oddziału leniwie powiewała flaga Narodów Zjednoczonych, na białym tle, ze słońcem pośrodku, otoczonym dziesięcioma kołami w różnych kolorach.

Georges Ley rozmawiał z Benem. Gretta stała bojaźliwie, trzymając Bena za rękę, a jej oczy strzelały tu i tam, ponad głowami otaczających ich tysięcy ludzi.

— **B**ądź ostrożny, Ben — przestrzegał go Georges. — Ci tubylcy są gwałtowni i dzicy. Będą walczyć. Nie ma co do tego wątpliwości. Będziesz musiał wytrzymać pierwszą minę, na którą wdepniesz. Potem twoja już

głowa, żeby przekonać tych, którzy ocaleją, że jedyną nadzieją na przetrwanie jest gra ręka w rękę z nami. Gretta posłuży jako przykład, jak traktujemy tubylców, którzy zostają naszymi przyjaciółmi. A jej śliczne ubranko będzie mówiło samo za siebie.

Zwrócił się do Gretty.

— Mamy nadzieję, że twoim rodakom spodobają się twoje piękne suknie i przyjaźnie przyjmą naszego przedstawiciela. Jak myślisz, czy to możliwe?

— Nie wiem — odparła Greta. — Prawdopodobnie wystraszą się, jak zobaczą mnie w tych ubraniach. Mogą sobie nawet pomyśleć, że nie jestem jedną z nich. Nie wiedzą czym są ubrania, mogą więc sądzić, że to jakieś odrosty ciała. Ja sama tak myślałam, kiedy mnie schwytaliście. Wszyscy możemy zginąć, ponieważ wojownik uczony jest, aby najpierw zabić, a potem sprawdzać, a wenusjańscy wojownicy są więksi i silniejsi niż wy, małe ludziki. Wiedzą także, jak stapiać się z drzewami i ziemią, tak by nie nikt nie mógł ich dostrzec. Dlaczego po prostu nie zadowolicie się pozostaniem tutaj, w górach i nie zrezygnujecie z zejścia niżej? To może tylko sprowadzić kłopoty. Każde plemię ma swoje własne terytorium, należące do niego od Czasów Początku, na mocy praw dziedzictwa. Tylko najwyższy kapłan wszystkich plemion może to zmienić.

Georges wzruszył ramionami.

— Musimy pójść na dół, ponieważ takie są rozkazy naszego najwyższego kapłana, małych ludzi z Ziemi — oznajmił jej. — Nie ośmielimy się im sprzeciwić.

— A więc musicie zabrać bębny — żarliwie zawołała Gretta. — Musicie zabrać wiele bębnów i bębnić w nie na pokój.

— A to co znowu? — spytał Georges z zaskoczeniem. Zwrócił się do Bena. — O co chodzi z tymi bębnami? Wydawało mi się, że miałeś się dowiedzieć, jakie podejście najlepiej zastosować do tych dzikusów!

— Nic mi wcześniej nie mówiła — odparł zmieszany Ben.

— Tak, bębny — potwierdziła szybko Gretta. — Kiedy jakieś plemię wchodzi na terytorium drugiego nie chcąc wojny, bije w bębny w rytmie pokoju. Bum. Ba ba ba ba. Bum. Ba ba ba ba. Mniej więcej tak.

Georges wydał pośpieszne rozkazy. Po chwili przyniesiono bęben. Przyniósł go perkusista z orkiestry, sprzeciwiający się, że on nie ma zamiaru dołączyć do ekspedycji. Jest przecież tylko muzykiem, a nie żołnierzem.

Szybko pochwycił właściwe uderzenia dla rytmu pokoju i rozkazano mu przyłączyć się do żołnierzy.

To była upiorna procesja, schodząca po zboczu góry ostrożnie, długim wężem. Nie uszli nawet pół mili i znaleźli się na niezbadanych jeszcze terenach. Co pięćset stóp budowali znaczniki, tak by mogli odnaleźć drogę powrotną.

Po pokonaniu mili, zeszli tysiąc stóp niżej. Zaczął padać deszcz. Charakter roślinności zmienił się, na bardzo gęstą, blado ubarwioną trawę.

Ludzie maszerowali po jej grubym dywanie, z Grettą w pobliżu czoła kolumny. Towarzyszył jej Ben, idący ze wzrokiem utkwionym prosto przed siebie, zimnymi i pozbawionymi wyrazu oczyma oraz wargami zaciśniętymi w cienką, ponurą linię.

Gretta od czasu do czasu rzucała mu zaniepokojone spojrzenia i trzymała się blisko niego. Pozostali maszerowali za i przed nimi, w długiej, samotnej kolumnie, garstka ludzi na obcej planecie, każdy z nich pozostawiony swoim własnym myślom.

Wyłonili się z mgły na cyplu, który prowadził do głębokiej doliny. Parująca dżungla tworzyła gęsty, gładki dywan, rozciągający się dwa tysiące stóp pod nimi.

Deszcz pozostawili już za sobą. Warstwa mgły wyglądała teraz jak gładki, szary sufit, wiszący zaledwie parę stóp nad ich głowami i ciągnący się jak okiem sięgnąć we wszystkie strony. Tu i ówdzie zdawały się zwisać z niego niebieskawo-szare zasłony. Zasłony te i różnokolorowy dywan dżungli przesiąknięte były wszechobecną jasną poświatą, pochodzącą z promieni słonecznych wielokrotnie rozpraszanych w drodze przez niemal pół obwodu planety, przekazywanych za pośrednictwem niezliczonych odbić od miniaturowych kuleczek wody, z których składała się warstwa chmur.

U ich stóp ziemia raptownie opadała stromym zboczem, głęboko pociętym brzydko wyglądającymi kanałami, którymi spływała woda, niosąc białe grzebienie kipiącej piany. Odprowadzały one wodę z nieustannych deszczów, padających na znajdującej się za nimi górze. Jedynym co utrzymywało glebę przed zmyciem jej na równiny już wieki temu, były zwarte, głęboko ukorzenione trawy, zachłannie wczepiające się w każdy cal kwadratowy ziemi.

Ogłoszono godzinny odpoczynek, w czasie którego zainstalowano radiolatarnię i zjedzono lunch. Potem rozpoczęło się zejście po zboczu. W niektórych miejscach wędrówka była bezpieczna i szybka. W innych napotykano skały z rozpadającego się kamienia. Często jedynym wyjściem było zejście po linach z wysokości stu stóp, a nawet więcej. W pewnej chwili, oberwanie chmury omal nie zmyło całej ekspedycji do jednej z licznych rzek.

Monotonię krajobrazu przełamywały sporadycznie rosnące drzewa. Były bardzo podobne do ziemskich klonów, i gdyby rosły na Ziemi zostałyby zaklasyfikowane do tej rodziny. Jednak, ich liście były znacznie grubsze i miały miękką, mięsistą budowę, której generalnie nie spotyka się w przypadku liści ziemskich roślin. Były bladozielonego koloru i prześwitywały niemal do granic przezroczystości.

Jeden z ludzi chciał spróbować jak one smakują. W ostatniej chwili Gretta wytrąciła mu go z ręki. Potem wzięła nóż i rozkroiła liść po długości. Pośpiesznie wskazała na niewielkie robaki pełzające po mięsistych włóknach i wyjaśniła, że przegryzłyby się one przez powłoki żołądka i dostały do tkanki mięśniowej, gdzie zaczęłyby się rozmnażać by w końcu zabić nosiciela.

Pomiędzy członkami wyprawy, wzrosła świadomość potrzeby zachowania ostrożności. Nieustannie zwracali się do Gretty, z kolejnymi pytaniami.

Ben obserwował wenusjańską dziewczynę oczyma, które dobrze ją znały. Zauważył więc, jak często jej głowa odwraca się w stronę leżącej poniżej dżungli, jak bojaźliwie pociąga nosem, tak jakby wyczuwała wiszące w powietrzu niebezpieczeństwo.

W pewnej chwili, gdzieś z oddali, wiatr przyniósł dźwięk bębnów. Słuchała go, ale nic nie powiedziała. Dla Bena ich rytm był zupełnie nowy i nie miał żadnego znaczenia.

W końcu nadszedł czas na rozłożenie obozu na „noc". Maszerowali już od dwunastu godzin i przebyli odległość, której ponowne pokonanie w czasie drogi powrotnej, musiałoby im zająć co najmniej dwa dni, oczywiście jeśli zdołają przeżyć, aby wrócić. Trafiały się tutaj już sporadyczne kępy drzew i obóz założono w jednym z większych takich małych zagajników.

W obozie panowała atmosfera napięcia, która wisiała nad wszystkim jak fizyczna, przygnębiająca siła. Gretta zniknęła w swoim namiocie, zaraz jak tylko go ustawiono. Ben podszedł do granicy obozowiska, skąd mógł popatrzeć w dół, na ostatni fragment zbocza, ciągnący się do linii drzew, wyznaczającej ostrą granicę podziału między górą i równiną. Pozostało do niej już nie więcej, niż pół mili.

Jego myśli nie zajmowały żadne próby przewidzenia biegu nadchodzących wydarzeń. Przepełniał je zgorzkniały cynizm. Widział spojrzenia swoich ludzi, kiedy Gretta zaborczo trzymała go za rękę i maszerowała tuż u jego boku. Wyczuwał ich rezerwę i pogardę. Gretta oznajmiała przy pomocy swego wyglądu i zachowania, tak jak w nieunikniony sposób robią to wszystkie kobiety, że całkowicie i bez żadnych zastrzeżeń, należy do Bena.

Czy to go zawstydzało? Zadawał sobie to pytanie, kiedy jego zgorzkniałe oczy spoglądały zimno wzdłuż stoku. Odpowiedź brzmiała, nie. W ogóle nie czuł wstydu. Trochę go tylko dotykała ta wrogość i pogarda tych, którzy myśleli, że związał się z istotą nie do końca ludzką.

Nie patrzyli na niego, jak na białego mężczyznę w objęciach Murzynki lub Chinki, czy też kobiety pochodzącej z jakiejś innej kolorowej rasy. Nie. Prawdę mówiąc, to samo spojrzenie pojawiało się także w oczach ludzi z kolorowych ras, biorących udział w wyprawie: Murzynów, Chińczyków, Mongołów, Hindusów i różnego rodzaju mieszańców.

Wśród nich był Joe Banks, czarnoskóry żołnierz z Chicago, który właśnie pomagał w rozstawianiu namiotów. Wszyscy wiedzieli, że był zakochany w Ludwidze Kratovitsch, Rosjance z WAAC, a ona w nim, i nikt nie miał im tego za złe. Natomiast zarówno w jego, jak i jej oczach, pojawiał się taki sam wyraz pogardy, kiedy on spacerował z Grettą, trzymając się czule za ręce.

Ben poczuł, że ktoś podszedł do niego od tyłu i odwrócił się. To była Gretta, która wyszła z namiotu, aby być razem z nim.

— Dlaczego stoisz tutaj sam? — spytała. — Masz taki zgorzkniały wyraz twarzy. Czy żałujesz…?

— Nie, Gretto — czule odparł Ben. — Czuję smutek, ponieważ już za parę godzin spotkamy twoich rodaków i zaczną się kłopoty.

— Nie martw się — oznajmiła Gretta, a w jej głosie zabrzmiała dziwna nuta. Twoi rodacy są małymi ludźmi. Ich myśli są małe, wszystkich poza tobą. Myślą, że groźba potężnych okrętów rzuci naszych wojowników na twarze, w strachu i poddaniu.

— Tak — ostrożnie potwierdził Ben. — Może jednak, jeśli wasi wojownicy przedyskutują całą sprawę w salach rady ze swymi przywódcami, nie trzeba będzie grozić potężnymi statkami i rozlewem krwi.

— **N**ie rozumiesz — powiedziała Gretta. — Wątpię, czy kiedykolwiek będziesz w stanie zrozumieć. Widzisz, to nie wojownicy sprzeciwią się w tej sprawie. Nie ludzie. To Bogowie Wenus, którzy nigdy nie pozwolą na to, abyście zdobyli tutaj przyczółek. My, którzy żyjemy na Wenus, jesteśmy uczeni od dnia narodzin aby być posłusznym nakazom Bogów, przekazywanym przez ich kapłanów. Już wcześniej wiele duchów małych białych ludzi z Ziemi zaczęło sprawiać Bogom kłopoty. Potrafię to wyczuć, Ben. Tym białym ludziom, zabitym podczas pierwszej wizyty tutaj, udało się uniknąć pułapek zastawionych na nich przez kapłanów. Teraz, zebrali się razem z duchami zabitych podczas naszego lądowania, z wieloma tysiącami duchów, i wspólnie będą walczyć z naszymi Bogami, tkwiąc im cierniem w boku.

— Nonsens — roześmiał się Ben. — To po prostu jest niemożliwe.

— Ależ oni istnieją, Ben — żarliwie zapewniła go Gretta. — Proszę cię, uwierz mi.

— Wierzę ci, w następującym zakresie — odpowiedział jej powoli Ben. — Dzieki takim wierzeniom, wielebni kapłani mogą utrzymywać swoją władzę. W przeszłości, również na Ziemi kapłani wykorzystywali wiarę do budowy swej potęgi. Tylko dzięki odrzuceniu władzy duchowieństwa i kształceniu ludzi, tak by nie byli oni podatni na takie wierzenia, udało się złamać potęgę kapłanów. Być może również tutaj wszystko będzie musiało pójść tą samą drogą, co na Ziemi.

— Posłuchaj! — wyszeptała Gretta, kładąc dłoń na ramieniu Bena.

Od strony dżungli, w górę zbocza, doleciał głos bębnów. Trzy wolne uderzenia i przerwa. Trzy wolne uderzenia i przerwa. Ostatnie uderzenie z każdej trójki było głośniejsze niż dwa pierwsze.

— Co to znaczy? — spytał z ciekawością Ben.

— To sygnał do wojny — wyjaśniła Gretta. — Rozkaż swojemu doboszowi, żeby bębnił na pokój. To pewnie i tak niewiele pomoże, ale może zmieni ich zamiary na tyle, aby chcieli porozmawiać z tobą przed walką.

— Ludzie muszą najpierw trochę się przespać — odparł Ben. — Ty też powinnaś pójść spać, Gretto.

— A co z tobą?
— Nie mogę zasnąć — powiedział Ben. — Mam za dużo spraw, które muszę przemyśleć.
— Wiem — delikatnie zgodziła się Gretta.
Przez dłuższy czas stała obok niego w ciszy. Dźwięk bębnów dolatywał do ich obozowiska stałym rytmem, bezduszny głos z obcej dżungli.
W końcu przerwała milczenie.
— Jest inny sposób, Ben.
— Jaki? — ostro zapytał Ben.
— My dwoje, moglibyśmy ruszyć przodem i spotkać się z wojownikami sami — oznajmiła prosto.
Ben aż podskoczył.
— Słuchaj! To naprawdę jest niezły pomysł! — zawołał. — Jeżeli będziemy tylko ty i ja, wezmą nas jako jeńców i wysłuchają nas. Przy większym tłumie, może wywiązać się walka, a wtedy wielu ludzi straci życie. Niewykluczone, że uda nam się zawrzeć pokój między Wenus i Ziemią, bez żadnych niepotrzebnych ofiar!

Ben wrócił do obozu i szybko wytłumaczył innym oficerom, na czym polega nowy plan. Zgodzili się z nim, że warto go spróbować.
— Dajcie mi czterdzieści osiem godzin — powiedział Ben. — To powinno uwzględniać wszelkie okoliczności. Jeżeli nie wrócę do tej pory, wyruszajcie i bądźcie gotowi do walki. Nie muszę was chyba ostrzegać, że oni są wręcz urodzeni do walki w dżungli.
Wziął bęben i zaczął ćwiczyć wybijanie sygnału pokoju; czterech lekkich, ostrych uderzeń, po których następowało piąte, głośne uderzenie, wszystko to powtarzane w szybkim cyklu, bez przerwy. Był to bardzo trudny rytm do utrzymania bez błędu.
W chwili, kiedy był już gotów do wyruszenia, cała wyprawa ustawiła się w szyku, aby obserwować jego odejście. Teraz czuł się dużo lżej na sercu. Stało przed nim jasno określone zadanie.
Kiedy przechodził koło nich, żołnierze zastygali wyprostowani na baczność. Ale ich oczy spoglądały prosto przed siebie. Na próżno szukał w nich najmniejszych przyjaznych śladów; nie znalazł niczego, poza chłodem.
Gretta szła u jego boku, gibka i pełna gracji, jej dziwna głowa była wysoko uniesiona, a nozdrza falowały w oczekiwaniu ponownego spotkania ze swoimi.
Kiedy ostatni żołnierz zniknął mu z oczu i tylko obszar pokrytej trawą ziemi dzielił go od rozciągającej się przez nim ciemnej dżungli, niespodziewanie stanęła mu w myślach twarz Jean, z drżącym uśmiechem na czerwonych wargach. Jeszcze raz usłyszał jej szept: „Będę na ciebie czekać, Ben”. Wzrok przesłaniały mu łzy żalu. Dłonie jeszcze bardziej gorączkowo uderzały w bęben. Bum bum bum bum BUM bum bum bum bum BUM bum bum…

Gretta maszerowała obok niego, jej długie nogi, w kolorze głębokiego indygo, poruszały się w gracją, piękna twarz rozjaśniona była radością z powrotu do domu, którą lekko tylko szpeciło zwierzęce falowanie nozdrzy. Miała na sobie kremowo-żółte szorty, krótką spódniczkę i stanik. Była to najnowsza kreacja wiodących stylistów z Nowego Jorku, przygotowana dla niej tuż przez podróżą na Wenus.

W taki sposób szli w stronę odległej dżungli, po nierównej, pokrytej skłębioną darnią ziemi. W miarę jak zbliżali się coraz bardziej, na otwarty teren wyłaniali się ostrożnie giganci o ciemnobłękitnej skórze, trzymający za boki dyski z brązu, o średnicy ośmiu stóp, służące zarówno jako tarcza, jak i bęben. Widząc zbliżającą się ku nim kobietę ich własnego rodzaju, której towarzyszył jakiś dziwny pigmej, na ich twarzach pojawiała się ciekawość.

Każdy krok przybliżał dwójkę wędrowców do historycznego spotkania, ale także sprowadzał z dżungli coraz większą liczbę wojowników, aż w końcu utworzyli oni prawdziwą ścianę. Kiedy znaleźli się już nie więcej niż dziesięć stóp od ciągłego szeregu wojowników, Gretta zatrzymała się. Ben stanął obok niej, ciągle uderzając w bęben. Dotknęła jego łokcia i pokręciła przecząco głową. Mógł więc w końcu opuścić zmęczone ręce.

Jeden z wojowników wystąpił krok naprzód i przemówił:

— To wszystko jest bardzo dziwne — oznajmił. — Lepiej, żebyś miała bardzo dobre wytłumaczenie, albo zabiję cię tutaj na miejscu. — Spoglądał prosto na Grettę.

— Wytłumaczenie jest bardzo długie — odparła Gretta. — I trudno będzie w nie uwierzyć.

— Słyszałem o tobie — rzekł wojownik. — To ty pozwoliłaś aby cię pojmali dziwni mali ludzie o spiczastych nosach i dziwacznych naroślach. Teraz ty również jesteś nimi splamiona.

Gretta bez słowa zdjęła swoje ubranie i wyciągnęła je w stronę wojownika. Cofnął się z obawą, ale od strony stojących za nim ludzi dobiegły okrzyki. Czując, że na szali leży jego sława, wziął od niej ubranie i obrócił je w rękach.

Potem, z jakiegoś niezrozumiałego powodu, wpadł we wściekłość, rzucił ubranie na ziemię i skoczył na nie nogami. Linia wojowników przesunęła się szybko tak, by otoczyć Bena i Grettę. Z wyciągniętymi nożami popędzili dziwną parę, aby podążali za prowadzącymi i zagłębili się w dżungli.

— Co u… — zawołał Ben po angielsku.

— Zabierają nas do kapłana — wyjaśniła mu Gretta. — Obawiają się zbyt przyjaznych gestów, dopóki kapłan nie powie im, że mogą tak się zachować. W przeciwnym razie, mogliby wpaść w poważne tarapaty.

To wyjaśnienie trochę pocieszyło Bena. Potruchtał więc, aby dotrzymać tempa długim krokom swoich pogromców. Większość z nich miała ponad osiem stóp wysokości, długie nogi i mocną budowę ciała.

Podążali ścieżką, która wiła się zawiłym wzorem przez gęste poszycie dżungli, często niemal zawracając własnym śladem, przy okrążaniu pni ogromnych drzew. Podobne do małp zwierzęta uciekały wierzchołkami, gniewnie jazgocząc. Razem z nimi ulatywały najrozmaitszych rodzajów ptaki skrzecząc dla towarzystwa, czy też głośno besztając ich za wywoływany niepokój.

Wojownicy idąc po bokach szybkim krokiem, uderzali w swe wielkie tarcze. Być może przekazywali dalej sygnały o ich zbliżaniu się.

Wąż, którego ciało miało dwa metry średnicy, a długość skrywały rosnące w górze drzewa, wyrzucił łeb do góry, obserwując ich z ciekawością. Nie zrobił żadnego agresywnego ruchu, nawet pomimo tego, że kilku wojowników przechodząc, niemal otarło się o jego pysk. Nakrapiana zielona skóra gada była gładka i zdawała się nie posiadać łusek, jak to było u ziemskich węży.

Minęła ponad godzina, kiedy dotarli do zbudowanych z drewnianych kłód umocnień otaczających wioskę. Bez chwili zwłoki, wojownicy przeprowadzili ich przez szeroką bramę, idąc dalej między rzędami pokrytych strzechą chat do większej budowli w centrum osady. Tempo ich kroków nie słabło. Przypominało to Benowi w pewnym sensie, zachowanie mrówek, wykonujących skomplikowane manewry instynktownie i nie potrafiących zmienić nawet najdrobniejszych szczegółów swojego postępowania.

Gretta i Ben zostali popchnięci do przodu, a wojownicy stanęli gęstym szeregiem przed ciemnym wejściem, do dużego, także krytego strzechą budynku. Do chwili kiedy na miejsce nie dotarł ostatni z ludzi, nie ustawało bębnienie na brązowych tarczach. Potem, jakby na jakiś niewidoczny sygnał, spadła na nich raptownie jak nożem uciął, całkowita cisza.

Ben z ciekawością usiłował zajrzeć w panującą w wejściu ciemność. Nie mógł dostrzec niczego w środku. Mijały kolejne minuty. Gretta stała biernie w miejscu w którym ją ustawiono, z lekko pochyloną głową, ale wyprostowanymi plecami. Ben obserwował ją, próbując pochwycić jej spojrzenie.

Z ciemnego wejścia zabrzmiał suchy, trzeszczący głos.

— A więc, dziwaczny zwierzak z innej planety podziwia piękno kobiety z tego świata.

Wzrok Bena skoczył z powrotem w stronę wejścia. Stało tam teraz dziwaczne monstrum. Miało niemal dziesięć stóp wysokości, wysuszone, chude ciało, wyglądające jak szkielet opakowany w kruchą jak pergamin, niebiesko-czarną skórę, z głębokimi zmarszczkami i fałdami, charakteryzujące się trudną do opisania brzydotą. Wielka głowa spoczywała na cienkiej i kruchej szyi. Oczy były osadzone bardzo głęboko, a jedno z nich było całkowicie żółte i pozbawione tęczówki.

Wojownicy rzucili się na twarz i jęczeli przyciszonymi głosami. Gretta z wdziękiem opadła na kolana i wyciągnęła się w pokłonie.

— Przybyłem w pokoju — oznajmił Ben. Czuł się bezradnie i nie ośmielił się powiedzieć niczego więcej, zanim nie zobaczy reakcji na swoje pierwsze słowa.

— Jeżeli przybywasz w pokoju — kwaśno odparł kapłan, — to odejdź w pokoju i zabierz ze sobą ludzi swego gatunku. W pokoju nie możesz tu zostać, dopóki nie otrzymasz do tego zaproszenia, a my nigdy go nie wystosujemy.

— Na naszej planecie — wolno rzekł Ben, uważnie dobierając swoje słowa, — kapłani są równie potężni, jak wy tutaj. Ja jestem tylko niewolnikiem. Muszę być im posłuszny. Ich rozkazem było, abym porozmawiał z wami w pokoju, ponieważ oni tutaj przybędą, czy wam się to podoba, czy nie, a woleliby przybyć w pokoju.

Kapłan podszedł do Gretty i dotknął jej boku, ubraną w sandał stopą.

— Powstań, moje dziecko — polecił. — Byłaś na planecie, z której pochodzi to stworzenie?

— Tak — odpowiedziała mu.

— I uważasz, że jest ono miłe?

— To stworzenie, to mój partner — jasno oświadczyła Gretta. — Wybrałam go z mojej własnej woli.

Po tych słowach wybuchł gwałtowny zgiełk. Ze wszystkich stron napierała gniewna wrzawa głosów. Kapłan uniósł rękę, domagając się ciszy. Kiedy głosy opadły, obrzucił przeszywającym spojrzeniem Bena.

— Czy wielcy kapłani waszej planety zaaprobowali ten związek? — spytał.

— Tak — odparł Ben. — Pragną się dowiedzieć, czy krew obu planet może się mieszać.

Patrzył kapłanowi prosto w oczy, najwyższym wysiłkiem woli wypychając ze świadomości wszystkie myśli. Czekał. Czekał na to spojrzenie, które można było znaleźć także w oczach ludzi jego gatunku. Wiedział, że się ono pojawi. Ta rasa, na wiele sposobów, miała więcej powodów do dumy ze swego dziedzictwa, niż jakakolwiek rasa na Ziemi. Zwiesił więc swobodnie ręce po bokach, czekając na to, co się wydarzy.

Stało się to zupełnie niespodziewanie. Kapłan wydał z siebie dziwny dźwięk. W tej samej chwili Ben został złapany od tyłu i przytrzymany w mocnym uchwycie. Zasuszony stary człowiek podszedł do niego i wyciągnął jeden z noży, z całego zestawu wiszących mu wokół pasa.

Z przyprawiającym o mdłości przerażeniem, Ben obserwował, jak kapłan naciął mu czubkiem noża przedramię i zręcznie zerwał z niego cal kwadratowy skóry. Wstrząs spowodował, że w ogóle nie czuł bólu. Następnie kapłan otworzył małą, skórzaną torbę, którą miał u pasa, i wyjął z niego mały przedmiot, wyglądający nieco podobnie do żołędzia. Wcisnął przedmiot w odsłoniętą tkankę mięśniową i natychmiast rozciągnął skrawek skóry na swoim miejscu. Zrobione to zostało tak szybko i w tak rzeczowy, beznamiętny sposób, że umysł Bena nie chciał przyjąć świadectwa jego zmysłów.

Ktoś pojawił się z garścią pełną czegoś, co wyglądało jak błoto. Kapłan wziął je i z plaśnięciem pokrył nim ranę. Następnie pojawił się długi kawałek cienkiej skóry. Owinął nim rękę Bena i umocował na miejscu wiązką trawy.

Wzrok Bena zaczął się rozmywać. Spoglądał dookoła mętnym spojrzeniem, mgliście świadomy obecności Gretty, leżącej bezwładnie na ziemi, z ramionami wstrząsanymi głębokim szlochem. Po ręce, a potem po całym jego ciele rozchodziło się otępienie. Już nic nie widział. A w miarę jak otępienie postępowało coraz dalej, jego umysł wydawał się pozostawać ciągle pobudzony i dziwnie oddzielony od ciała.

Wydawało mu się, że znalazł się w dziwnym zawieszeniu wewnątrz swego własnego ciała, niezdolny do tego by cokolwiek czuć, niezdolny do tego by cokolwiek widzieć, a przy tym wbrew naturze obudzony i świadomy.

Zdawało mu się, że na coś czeka. Podziwiał swoją cierpliwość. Wiedział, że mógłby tak czekać, być może przez całe stulecia, dokładnie w takim stanie, nie zastanawiając się nawet na co czeka, ani się o to nie troszcząc.

Zwolna wokół niego zaczęły formować się jakieś kształty. Znajdował się na pokładzie statku. Słuchał przemawiającego oficera:

— No dobrze, ludzie — mówił oficer, — kiedy poczujecie, że uszy wam pękają, nie będzie czasu na myślenie. Szeroko otwórzcie usta. Pierwszą oznaką jaką otrzymacie, wskazującą na przebicie waszego przedziału, będzie właśnie wrażenie pękających uszu. Ułamek sekundy później, dolecą do was odgłosy uderzenia, które wybiło dziurę w poszyciu. Jeżeli nie otworzycie ust, bębenki wam wybuchną, rozerwą się jamy zatok i udusicie się w nagłym zalewie krwi z rozdartej tkanki. Musicie doprowadzić swój czas reakcji do dziesiątych części sekundy. Będziemy to ćwiczyć wielokrotnie, raz za razem – a potem jeszcze raz – i…

…Jeszcze raz — czekał na dokończenie, będąc zupełnie sam w całym kosmosie i kompletnie pozbawiony uczucia zainteresowania tym co się dookoła niego działo.

Chmury wokół niego zawirowały w celowym wzorcu i zmaterializowała się kolejna sceneria.

Ogromne maszyny do budowy dróg, wydzierały przez dżunglę pusty szlak. Układały drzewa w stosy, wielkie jak budynki. Przeorywały ziemię i wyrównywały ją. Poruszały się powoli, pozostawiając za sobą wstęgi betonu. Nieustępliwie podążały przed siebie, a wokół nich roiły się jak mrówki, rzędy opancerzonych samochodów, żołnierzy i ciężko wyładowanych ciężarówek.

Z dżungli, w desperackim ataku, wyskoczyła grupa wenusjańskich wojowników. Młodzi ludzie w brązowych koszulach i spodniach, wypuścili na nich strugę płynnego ognia. Wojownicy z wrzaskiem uciekli z powrotem w dżunglę, a do ich ciemnoniebieskiej skóry przywarły złowrogie płomyki ognia, i pożerały… pożerały…

Raptownie sceneria ponownie się zmieniła. Wydawało mu się, że unosi się w powietrzu ponad płaskowyżem, na którym spoczywały wszystkie Pisklęta. Mógł zajrzeć daleko w głąb gór. Mgły zniknęły.

Całe fragmenty zboczy górskich zdawały się skrycie poruszać do góry. Przyjrzał im się bliżej i zobaczył, że to masy wenusjańskich wojowników, kryjące się pod płaszczami z traw i liści, podkradały się do zaskakującego ataku.

Teraz zobaczyli ich także ludzie w leżącym pod nim obozie. Nieśpiesznie przewieźli na krawędź płaskowyżu karabiny maszynowe i czekali aż pierwsze szeregi wojowników podejdą bliżej. Tu i ówdzie widać było kręgi ludzi skracających czas oczekiwania grą w kości, od czasu do czasu ktoś z nich wyglądał za krawędź płaskowyżu, aby zobaczyć jak blisko wojownicy się już wdrapali.

Z finalnym wybuchem energii, fala wojowników odrzuciła maskowanie z trawy i uniosła przed sobą tarcze, wybijając na ich dyskach z brązu pieśń wojny.

— Bierz ich, mały — powiedział człowiek trzymający kości.

Inny z ludzi podszedł do karabinu maszynowego i posłał w zbliżające się szeregi Wenusjan niszczącą powódź ołowiu. Zaczęli padać i wkrótce ze świeżo poległych utworzył się mur, bariera na którą wspinały się tylne szeregi, padając przed nią i stając się jej częścią.

Potem człowiek obsługujący karabin maszynowy, przyłączył się z powrotem do grupy grających w kości.

— Najwyższa pora — powiedział inny człowiek. — Co ci zajęło tak dużo czasu? — Wręczył kości temu, który właśnie przed chwilą zabił parę tysięcy Wenusjan.

Ben jakby nagle przesunął się bliżej do powierzchni płaskowyżu. Zaczął poruszać się w celowo wybranym kierunku. Szukał Kapitana Leya. Znalazł go w dużym betonowym pomieszczeniu, z kilkoma oficerami ubranymi w generalskie mundury. Rozsiedli się wokół dużego stołu na środku pokoju.

Jeden z generałów właśnie zaczął mówić. Siedział, opierając jedną nogę piętą o stół, z odchylonym do tyłu krzesełkiem.

— Żadne wieści od Bena Arnolda nie dotarły jeszcze do grupy ekspedycyjnej — oznajmił utyskującym tonem. — Nie lubię takiego wyczekiwania. Dlaczego tam nie wejść i nie przejąć kontroli. Wcześniej czy później i tak będziemy musieli pogonić tych niebieskich chłopców. Równie dobrze możemy zrobić to teraz.

— Pokładamy wielkie nadzieje w misji Bena — odparł Georges Ley. — Biedny dzieciak. W tej całej sytuacji miał do odegrania bardzo trudną rolę. Ale tak trzeba było zrobić. Jeżeli zaakceptują go jako jednego ze swoich, jeżeli wezmą go kogoś w rodzaju świętego męża, będziemy mogli wkręcić się między nich, aż w końcu zajmiemy pozycję, w której będziemy mogli dyktować warunki, bez konieczności rozlewu krwi. Opinia publiczna na Ziemi nie poprze masowej rzezi, tak jak to się stało kilka wieków temu. Ja sam zresztą jestem jej przeciwny. Uważam, że jeśli nie uda nam się pokonać ich przyjaźnią, powinniśmy wracać do domu i zapomnieć o Wenus.

— Ha! — parsknął jeden z oficerów. — Czy wyobraża pan sobie, że rasa ludzka odpuści sobie całą planetę, tylko dlatego, że jacyś dzicy tubylcy, którzy na niej mieszkają, nie będą chcieli, abyśmy tu wylądowali?! Proszę pomyśleć o Kolumbie wracającym do królowej Hiszpanii z opowieścią, że nie znalazł w nowym świecie żadnego wolnego miejsca do wynajęcia!

Siedzący wokół wielkiego stołu generałowie, zaczęli się śmiać. Ich śmiech stawał się coraz silniejszy, dopóki nie zaczął odbijać się gromkim echem od zboczy górskich i wstrząsać drzewami w dżungli, a podobne do małp stworzenia wślizgnęły się pod rozedrgane liście, aby się ukryć.

Śmiech uleciał i Ben ponownie został sam, czekając, i o nic się nie troszcząc.

Czas mijał, aż w końcu przestał mieć znaczenie. Wiek, czy eon, wydawało się to bez różnicy. Planety mogły się rodzić, wypełniać miriadami stworzeń i stawać się pozbawionymi powietrza pustyniami bez życia. Ulotne owady mogły trzepotać swymi skrzydełkami przez kilka chwil. I nie było żadnego sposobu, aby powiedzieć, które z tych zjawisk trwało dłużej.

Dżungla, pokryta złowrogimi białymi plamami, obrzydliwymi zielonymi, żółtymi i czerwonymi, rozciągała się we wszystkie strony. Sto jardów dalej, krótko mignęły nogi w kolorze indygo. Pełna gracji wenusjańska kobieta, truchtała ścieżką. U jej boku, utrzymując tempo w niezgrabnym galopie, biegło dziwne dziecko, o długich członkach, pozbawione włosów, pokryte chorobliwie białą skórą z dziwnymi niebieskawymi naciekami. Jego nos miał kształt ogromnego dziobu, usta były słabe i rozdrażnione.

Wenusjańską kobietą, była Gretta.

Doszła do wioski. Wybiegła z niej jakaś kobieta i odpędziła ją kijem. Gretta zaczęła uciekać do dżungli, krwawiąc z otrzymanych ran, a jej dziecko potykając się biegło u jej boku, głośno piszcząc.

Dotarła do stojącego w dżungli betonowego budynku. Potykając się z wyczerpania, dokuśtykała do drzwi i zapukała w nie. Wyszły z nich onzwaacs i odepchnęły ją. Gretta potknęła się i upadła na ziemię. Dziewczyny uniosły kije i kamienie i zaczęły ją nimi obrzucać, dopóki czołgając się nie znikła w dżungli.

Tam padła ostatecznie, a nakrapiane stworzenie, które było jej synem, podkradło się do niej i zaczęło ssać jej pierś, tak jak robią to młode zwierzęta.

Ben obserwował wszystko i zdumiewał się, że zupełnie nic nie czuje. Próbował mówić sobie, że to był jego syn, ale słowa nie miały dla niego żadnego znaczenia.

Scena zaczęła znikać, rozmywać się.

Z siłą eksplozji uszy zalały mu dźwięki, a oczy światło. Tysiące odczuć zmysłowych, pochodzących z jego ciała, powiedziało mu, że stał się z powrotem sobą. Wilgotny, cichnący odór dżungli wiercił mu w nosie, a

melodia leśnych hałasów utworzyła kurtynę z dźwięku, na tle której odbierał inne i bardziej znaczące odgłosy.

Otworzył oczy. Leżał na ziemi. Przed nim wznosiła się platforma z jakiegoś kamienia, wyrastająca mniej więcej dwie stopy ponad otaczający ją grunt.

Wykręcając głowę zobaczył po obu stronach platformy długie linie wysokich wojowników, każdy z nich trzymał za sobą wielką tarczę, tak że wyglądała ona jak płótno obrazu, na którym on się znajdował.

Za nim zaczął narastać jakiś jęczący pomruk. Wykręcił głowę, tak mocno jak tylko był w stanie, i zobaczył pierwsze szeregi, jak się wydawało, ogromnego tłumu ciemnobłękitnych ludzi, wyciągniętych w pokornym pokłonie. Klęczeli na obu kolanach, z rękoma wysuniętymi do przodu i twarzami wtulonymi w ziemię.

Rozległ się straszliwy huk, który spowodował, że szarpnął głową z powrotem w stronę platformy. Setki uderzeń w tarcze z brązu, zabrzmiało unisono; dźwięk urwał się raptownie.

Ze strony klęczącego tłumu, uniosło się w powietrze westchnienie uwielbienia. Benowi zaś wyrwał się cichy okrzyk przestrachu. Pośrodku podwyższenia kamiennej platformy, stał człowiek o idealnie doskonałych proporcjach, i skórze błyszczącej jak błękitny marmur. Miał co najmniej dziesięć stóp wysokości a jego głowa przystrojona była nakryciem z drogocennych rubinów, z których każdy wyglądał jak żywe, czerwone oko.

Usta tego olbrzyma były szlachetne i pewne. Na jednym z policzków widać było bliznę. Oczy miał żywe i zdawały się one błyszczeć z rozbawieniem.

Za Benem rozległ się szmer poruszenia. Wokół niego i za nim, w stronę człowieka na podwyższeniu, czołgało się kilku ludzi. Jednym z nich był pomarszczony kapłan, do którego Ben został zaprowadzony przez wojowników.

Czołgający się do przodu ludzie, intonowali w monotonnym zaśpiewie słowa: „O, wcielony Boże ciepła i światła. O Władco niebios i lądów Wenus. Wezwaliśmy tu Ciebie, byś poradził nam w naszej obecnej potrzebie. Przemów do nas, a my Ci będziemy posłuszni.”

Słowa te intonowali nieustannie, powtarzając je raz za razem, podczas gdy gigantyczna postać, stała bez ruchu. Za każdym razem, kiedy powtarzali śpiewane słowa, podczołgiwali się odrobinę bliżej ku podstawie platformy. W końcu umilkli i spoczęli nieruchomo.

Olbrzym czekał, zdając się cieszyć dramatyczną chwilą niepewności, którą w ten sposób wykreował. Następnie przemówił, miękko, a jednak głosem który potrafił z pełną siłą dotrzeć na znaczne odległości.

— Kiedy wielka wężyca ma ochotę zjeść jedną z szybkich małp nadrzewnych o ostrych kłach, nie ściga ich po wierzchołkach koron. Potrafi uderzyć szybko, tak. Potrafi poruszać się równie szybko, jak i one, tak. Ale dlaczego miałaby za nimi gonić, jeśli potrafi zmienić się w na pozór

wygodne gniazdo, w którym mogłyby wygodnie się skulić i zasnąć? Czy wy nie możecie być równie mądrzy jak wielka wężyca?

Od strony wyciągniętych w pokłonie kapłanów, dobiegły podniecone pomruki, ale żaden z nich nie uniósł głowy. Kiedy pomruki ucichły i zapadła cisza, olbrzym zaczął mówić ponownie.

— Kiedy mrówki-kanibale wtargną do mrowiska innych mrówek, nie ścigają ich i nie chwytają jedna po drugiej. Przyłączają się do nich i żyją razem z nimi, zręcznie otaczając je pułapkami, w oczekiwaniu na dzień, kiedy bez wysiłku będą mogły je wszystkie złapać. W ten sposób garstka słabych mrówek-kanibali może pokonać ogromną liczbę silnych, niebezpiecznie gryzących mrówek, bez żadnego zagrożenia dla siebie. Czyż nie potraficie skorzystać z tego, co na własne oczy możecie zobaczyć w otaczającej was dżungli? Czemu więc przychodzicie do mnie i zakłócacie mój spokój, swym dziecinnym brakiem zdrowego rozsądku? Idźcie raczej obejrzeć sobie mrówki i węże. To ich spytajcie, co należy zrobić.

— Ale w jaki sposób mamy w ogóle zacząć? — wymruczał kapłan.

— Jak, naprawdę? — zakpił olbrzym. — Weźcie to związane zwierzę, które zbezcześciło waszą krew, i zróbcie je swoim królem. — Roześmiał się z druzgocącym sarkazmem, a potem odwrócił i dwoma długimi krokami zniknął w dżungli.

Natychmiast wybuchła wrzawa podniesionych głosów, kiedy kapłani i zebrani ludzie zaczęli dyskutować to, co zostało powiedziane. Kapłani zbliżyli do siebie głowy. W końcu jeden z nich wskoczył na kamienną platformę i uniósł ręce. Burza głosów ucichła.

— Słuchajcie mnie! — zawołał. — Otrzymaliśmy rozkazy i musimy być im posłuszni. Białe zwierzę musi zostać naszym królem. To święty rozkaz.

W oczach kapłana błyszczało światło radości i tryumfu. Dostrzegli je otaczający ludzie, głośno wykrzykujący swoją zgodę.

Po plecach Bena zaczęły gmerać czyjeś ręce. Otaczające go więzy natychmiast poluźniono, został podniesiony, postawiony na nogi i poprowadzony na platformę. Poczuł, że wsadzają go na górę, gdzie stanął, kołysząc się niepewnie. Wszystkie członki mrowiły go, w miarę jak zaczęło mu w nich wracać krążenie krwi.

Skądś nagle pojawiła się korona, podobna do tej, jaką nosił olbrzym, i umieszczono ją na głowie Bena. Potem stał sam, a wszyscy kapłani i ludzie zwrócili się w jego stronę i złożyli mu pokłon, taki sam jak olbrzymowi.

— Oto król Wenus — skandowali kapłani. — Rozkazuj, a my będziemy posłuszni.

Ben wpatrywał się w to wszystko z niedowierzaniem. To było bardziej fantastyczne, niż najdziksze sny szaleńca. Poczuł nagły przypływ inspiracji. Mógłby sprawdzić ich blef i zmusić do zrobienia rzeczy, których nie chcieli. Uda więc, że wierzy w ich małe przedstawienie i wyda im rozkaz, którego nie wykonają. To powinno zakończyć tę farsę.

— Zabijcie więc tego pomarszczonego kapłana, który ośmielił się mnie dotknąć! — rozkazał władczym tonem, wskazując na kapłana, którego spotkał jako pierwszego w wielkiej chacie.

— Litości, o królu! — lamentował stary człowiek.

— Zabić go! — wykrzyknął Ben. Z pewnością tego nie zrobią! Sprawdził ich blef i przejrzał całą sztuczkę!

Wtedy, nagle jego zmysły zawirowały. Trzech innych kapłanów odwróciło się w stronę tego, którego Ben kazał zabić. Mignęły błyskawiczne ruchy i skazany człowiek leżał umierający na ziemi, a w jego ciele tkwiły zatopione aż po samą rękojeść trzy noże. Po chwili był już martwy.

— Oto prawdziwy król! — ktoś krzyknął.

— Król, który może nas poprowadzić! — zabrzmiał inny głos.

Zanim otępiałe zmysły Bena zdążyły zacząć normalnie działać, wzięto go do góry i został poniesiony na ramionach dwóch wojowników, którzy szybko pobiegli ścieżką przez dżunglę, otoczeni innymi wojownikami.

Sprawy toczyły się zbyt szybko, aby Ben mógł za nimi nadążyć. Został zaniesiony do dużego budynku krytego strzechą, z wieloma pomieszczeniami, i powiedziano mu, że to jest jego pałac. Sprowadzono do niego Grettę. Na jej ciele widać było siniaki i rany. Kapłani obmyli je i przyłożyli okładami z błota.

Po pewnym czasie przybył oddział wojowników, pędząc ze sobą grupę kobiet i mężczyzn, którzy natychmiast upadli na kolana i zaczęli lamentować. Wojownicy, mile się uśmiechając, profesjonalnie poderżnęli im gardła, zbyt szybko aby Ben mógł temu zapobiec, czy też nawet odezwać się. Wtedy kapłan wyjaśnił przepraszającym tonem, że to byli sprawcy, którzy prześladowali Grettę.

Oszołomiony Ben nie był w stanie wymyślić czegoś, co mógłby zrobić albo powiedzieć. Szkoda już się stała. Potrzebował trochę czasu, żeby pomyśleć. Rozkazał, aby wysprzątano pomieszczenie. Potem rozkazał, żeby posprzątano w całym domu. W końcu pozostał sam z Grettą. Była w kiepskim stanie. Nie miała żadnych złamań, ale została niemiłosiernie zbita i obrzucona kamieniami.

Ben położył się koło niej na ziemi i wziął jej głowę w ramiona, przyciskając ją mocno do piersi. Uniosła na niego wzrok i uśmiechnęła się blado.

Chciał ją wypytać, co to wszystko znaczyło, ale zdecydował, że rozsądniej będzie poczekać z tym, aż dziewczyna poczuje się lepiej. Niezgrabnie pomógł jej dojść do maty z trawy, która służyła za łóżko. Z wdzięcznością położyła się na niej i zamknęła oczy. Usiadł na krawędzi jej łóżka i próbował wprowadzić jakiś porządek w chaos swoich myśli. W końcu jednak poddał się i poszedł spać.

Otworzył oczy, obudzony przez odgłosy dziewczęcych chichotów i szczebiotania. Na ubitej ziemi podłogi pokoju, rozłożona została mata z trawy. Na niej spoczywał wielki, wydrążony kawał drewnianej kłody, wypełniony wodą.

W tej prymitywnej wannie odpoczywała Gretta, półleżąc, otoczona przez kilka wenusjańskich dziewcząt, obmywających jej ciało, pośród

głośnych okrzyków, wychwalających jej piękno. W oczywisty sposób współzawodniczyły one między sobą, aby zapisać się dobrze w jej pamięci.

Ben obserwował je, leżąc w bezruchu, a w jego myślach przebiegały wspomnienia z dnia wczorajszego. Próbował wprowadzić w nie jakiś porządek i wyciągnąć sensowne wnioski.

Tak więc, został królem Wenus. To musi być prawda. Na jego rozkaz Wenusjanie zabili jednego ze swoich kapłanów. Zabili również kilku swoich współplemieńców, którzy pobili Grettę. Te czyny mówiły same za siebie.

Tajemniczy olbrzym, który szydził z tych ludzi, rozkazał im uczynić go królem, a oni zrobili to bez chwili wahania.

Jego umysł przekopał to wszystko. Możliwości otwierały się niemal natychmiast. Jako król Wenus, mógłby utrzymać pokój. Mógł także „przyjąć” ziemską wyprawę i zawrzeć traktat, który pozwoliłby na pokojową ekspansję, budowę dróg, edukację tubylców i wszystkie inne rzeczy, które należało zrobić.

To byłoby cudowne, gdyby okazało się prawdą. Ale jego umysł ciągle mu szeptał, że to wszystko tylko mu się śni.

Gretta zauważyła, że się obudził. Wyszła ze swej wanny i rozkazała napełnić ją czystą wodą, z lekkim cieniem władczości w głosie. Ona, przynajmniej, zaakceptowała ewidentny fakt swojej pozycji jako królowej Wenus.

Jedna z dziewcząt pobiegła do drzwi i wykrzyczała odpowiednie polecenia. W pokoju pojawiło się kilkunastu mężczyzn, podniosło długą kłodę i zabrało ją gdzieś, niemal natychmiast wracając z drugą, pełną czystej wody.

Wyśmiewając jego krzykliwe protesty, dziewczyny ściągnęły z Bena ubranie i zaniosły go do wanny. Woda była z mydłem i pięknie pachniała. Poddał się radości kąpieli.

Później, kiedy już nałożył na siebie z powrotem ubranie, Gretta poinformowała go, że w kręgu rady oczekuje na niego rada kapłanów. Natychmiast ruszył do drzwi. Gretta zawołała go z powrotem i podniosła jego koronę, z miejsca w którym leżała na łożu z trawy. Nałożyła mu ją głowę, z dziwnym uśmiechem na ustach, a w jej oczach tańczyły światełka.

Poczuł się jak człowiek, który właśnie dostał awans na kierownika sklepu, i następnego dnia po tym, żona pocałowała go na do widzenia, a on wyruszył na przystanek tramwajowy. W tym przypadku tramwajem był podwójny rząd wojowników o skórze indygo, z których dwóch niosło go na ramionach, krocząc w tak doskonale równym rytmie, że mógł niemal się odprężyć. Wyciągnął rękę do góry i przekrzywił zawadiacko swą koronę z bezcennych rubinów.

Rada kapłanów, była większym zgromadzeniem, niż się spodziewał. Zdaje się, że w czasie kiedy on spał, gońcy dotarli do każdego zakątka całego kontynentu i sprowadzili tu kapłanów ze wszystkich plemion. Były ich całe tysiące.

Kiedy Ben się pojawił, rzucili się na twarz, intonując jakąś rytualną pieśń, którą najwyraźniej wszyscy znali na pamięć, ponieważ wszyscy skandowali ją jednym głosem. Ben cierpliwie czekał aż skończą. Czuł się głupio z tą całą sprawą.

W końcu zgromadzeni skończyli swój monotonny śpiew i siedli na tyłkach, w podobny sposób jak na spotkaniu na Ziemi. Ben zaczął się tym wszystkim dobrze bawić. Jak do tej pory, o ile mu wiadomo, całkowicie poważnie traktowali wyniesienie go na króla, jakkolwiek by to nie brzmiało fantastycznie i nie do uwierzenia.

Zdecydował się posuwać sprawy tak szybko, jak tylko będzie to możliwe. Powiedział im o swoim planie zawarcia traktatu, między Wenusjanami i ekspedycją z Ziemi. Słuchali poważnie, kiedy malował korzyści, jakie mogą wyniknąć z wprowadzenia u nich nowoczesnej cywilizacji.

Kiedy skończył, wstał jeden z kapłanów i zasugerował, że mógłby wyznaczyć grupę, która przeanalizuje, co powinno znaleźć się w traktacie z ziemską wyprawą. Ben zaczął czuć się bardziej swobodnie. Wszelkiego rodzaju komitety powodują, że sprawy stają się takie naturalne. Spotkanie zakończyło się decyzją, aby wysłać Bena razem z gwardią honorową, z powrotem do oczekującej grupy eksploracyjnej, i poinstruować ich, by powrócili do bazy głównej w Sierra Corscatehs, z wiadomością, że Wenusjanie gotowi są do podpisania traktatu, i spotkanie dla sfinalizowania traktatu, powinno odbyć się w ciągu najbliższego tygodnia.

Georges Ley czytał kopię propozycji traktatu, przygotowaną przez Wenusjan i przekazaną przez radio, z wysuniętej bazy w kępie drzew, pół mili od krawędzi dżungli. W pewnych kwestiach, był to bardzo osobliwy dokument. W innych, zawierał on to, co sami mogliby zasugerować. Na przykład, komitet kapłanów zgadzał się, aby zajęli i unowocześnili obszary, które sami sobie wybiorą, z zaproponowanych przez kapłanów. Pewne tereny miały pozostać dla Ziemian ściśle zakazane. W stosunku do każdego Ziemianina schwytanego na tych zakazanych obszarach, miała być stosowana kara śmierci.

To było trochę trudne do przyjęcia, ale George zdawał sobie sprawę z tego, że kiedy ziemskie siły okupacyjne staną mocniej na nogach, przyjdzie czas na odrzucenie takich przepisów traktatu.

George dostrzegał rękę Bena w zapisach mówiących, że pod względem odpowiedzialności karnej, Ziemianie podlegali ściśle jurysdykcji sądów onzarmii, zaś odpowiedzialność karna Wenusjan podlegała jurysdykcji kapłanów, chociaż Ziemianie mogli zażądać wglądu w każdą sprawę, w którą sobie życzyli.

W zaproponowanym traktacie, w wersji przygotowanej przez Wenusjan, była tylko jedna, naprawdę zdumiewająca rzecz. Dotyczyła ona Bena Arnolda. Ziemianie musieli oficjalnie uznać Bena za króla Wenus. Do traktatu wprowadzono zapis, że przez resztę jego życia, w stosunku do Bena nie wolno będzie stosować przepisów prawa, zarówno

wenusjańskiego, jak i ziemskiego. Nie mógł być postawiony przed sądem ani na Ziemi, ani na Wenus, ani w żadnym innym miejscu, niezależnie od stawianego mu zarzutu. Nawet gdyby kiedykolwiek między Ziemianami i Wenusjanami wybuchła wojna, Ben mimo wszystko miał stać ponad prawem.

Ben dodał swój komentarz odnośnie tego warunku.

„Nie wiem co o tym myśleć” — napisał. — „Rada kapłanów stanowczo twierdzi, że bez tej klauzuli, nie uznają żadnego traktatu i będą walczyć do ostatniego Wenusjanina. Wydaje mi się, że podyktowane to jest przez coś w rodzaju poczucia prestiżu. Król może być naprawdę królem tylko wtedy, jeśli jest absolutnie nienaruszalny. W przeciwnym razie jest nikim. Cała ta sprawa jest bardzo tajemnicza. Jak jeden mąż chcieli mnie zabić, dopóki jakiś gigantyczny Wenusjanin o wzroście dziesięciu stóp, którego wcześniej nigdy nie widziałem na oczy, rozkazał im, aby uczynili mnie królem. W gruncie rzeczy, klauzula ta oznacza tylko tyle, że wypadam ze statusu żołnierza onzarmii i kiedy już zbudujecie parę dobrych dróg, będę mógł bezkarnie łamać przepisy ruchu drogowego. Nie planuję powrotu na Ziemię i zamordowania swojej babki! Ale, gdybym to zrobił, traktat będzie mnie chronić. Nie będzie można mnie postawić przed żadnym sądem.”

Georges przygryzł ustnik fajki i rozważał sprawę ze wszystkich stron. Traktat, w wersji zaproponowanej przez Wenusjan, był całkiem uczciwy. Prawdę mówiąc, nawet bardziej niż uczciwy, ponieważ zawierał pewne luki, które każdy sprytny ziemski dyplomata starałby się do niego włączyć, gdyby tekst został zaproponowany przez ich stronę. Żołnierzom schwytanym w obszarach zabronionych groziła kara śmierci, ale mieli być oni sądzeni przez sądy onzarmii, a nie wenusjańskie, co pozwalało na obchodzenie w takich wypadkach litery traktatu.

Kilka miesięcy intensywnych wysiłków w budowie dróg, oraz rozłożenie sił na całym kontynencie, uniemożliwi jakiekolwiek efektywne próby powstania ze strony tubylczej ludności. Potem będzie można podkopać władzę kapłanów. Dużą rolę będą w tym grały ubrania. Przemawiają one do ludzkiej próżności i mogą stać się gotowym środkiem dla pozyskiwania miejscowej siły roboczej. Za kilka lat można będzie rozpocząć program edukacyjny. W ciągu najbliższego stulecia, tubylcy z Wenus, staną się na tyle wykształceni, aby stać się pełnymi partnerami w Narodach Zjednoczonych.

Było jeszcze kilka pomniejszych kwestii, które go intrygowały. Kim był ten dziesięciostopowy Wenusjanin? Jaką miał władzę? W dawnych czasach, na Ziemi również bywali twórcy królów. Generalnie, utrzymywali oni władzę poza tronem. Czy ten wenusjański twórca królów, miał jakiś pomysł na podobne rozwiązanie? Nawet jeśli tak, nie miało to większego znaczenia, przynajmniej dopóki wszystko toczyło się pokojową drogą.

W końcu, Georges umieścił swój podpis na dole karty, wyrażając zgodę na warunki traktatu, i zadzwonił po posłańca mającego zabrać dokument do następnego urzędnika, z listy tych, którzy powinni się z nim zapoznać.

Ben pewnie kroczył ponurym korytarzem utworzonym przez ociekające wodą rośliny otaczające ścieżkę w dżungli. Za nim podążała krok w krok, pochylona postać tubylczego kapłana, który w jakiś sposób podczepił się pod Bena i stał się jego przewodnikiem i mentorem. Okazał się być tak cenny, że Ben nawet nie pomyślał o dokładniejszym wypytywaniu go o to, jak i dlaczego został wybrany na stanowisko doradcy króla.

Prawdę mówiąc, Ben dosyć wcześnie zdecydował się w znacznej mierze raczej „płynąć z nurtem", niż twardo wymuszać spełnianie swojej woli, przynajmniej dopóki wszystko szło gładko. Jego pierwszy „rozkaz", dotyczący zabicia kapłana, o którym nawet nie myślał, że zostanie wykonany, spełniono tak szybko, iż niemal bał się wydawania kolejnych.

Bał się nawet wyrażać swe niezadowolenie, ponieważ ci, którzy go zirytowali, mieli niepokojący zwyczaj, w kilka godzin później, pozostawiania swych ciał w miejscach, gdzie nie mógł ich przegapić.

Ziemska „inwazja" szła gładko. Gigantyczne maszyny do budowy dróg rozpoczęły zjazd z płaskowyżu jeszcze przed ratyfikacją traktatu na Ziemi, dokąd dokument został zabrany przez statek-matkę. W miarę jak olbrzymie maszyny kierowały się powoli w dół górskich zboczy, pozostawiały za sobą gładkie pasma autostrady, po której w dzień i w nocy toczyła się niekończąca się procesja ciężarówek z cementem.

Przed tym przemieszczającym się frontem postępowali mierniczy, kierując i wyznaczając kurs dla ciągnących za nimi behemotów. Wenusjańscy tubylcy pojawili się setkami, gotowi przyłączyć się do tego gigantycznego przedsięwzięcia.

Zanim jeszcze autostrada dotarła do granicy dżungli, pracowało przy niej równie wielu tubylców, co Ziemian. Miejscowi okazali się ekstremalnie inteligentni. Żołnierze onzarmii, zmuszeni z obowiązku do pracy jako kierowcy ciężarówek, czy mechanicy, po krótkim czasie zostali zastąpieni przez wysokich, niebieskoskórych tubylców. Szybko wypracowano system uproszczonego angielskiego, tak by Ziemianie i Wenusjanie mogli ze sobą rozmawiać na tyle swobodnie, aby razem pracować. Nie wydarzył się żaden, nawet pojedynczy incydent, mogący zakłócić ten gładki postęp prac.

Stopniowo w pamięci Bena zacierało się wspomnienie o dziwnym wenusjańskim wielkoludzie i o tym, co tamten powiedział na zebraniu tubylców, kiedy Ben leżał związany i bezradny. W końcu zupełnie o tym zapomniał i zbagatelizował te fakty. Jeżeli kiedyś nawet miały one dla niego jakieś znaczenie, teraz znaczenie to zostało utracone.

Ziemianie trzymali się razem i rozgrywali wszystko w bezpieczny dla siebie sposób. Tubylcy nie mieli nawet szansy, by cała grupa rozproszyła się i została zniszczona. Kwatera główna pozostała na płaskowyżu, niedostępna, poza szlakiem wyznaczonym przez dniem i nocą strzeżoną autostradę. Na wszelki wypadek, wzdłuż tej drogi zbudowano betonowe garnizony, obsadzone przez liczne kontyngenty wojskowe.

Nie było jednak żadnych kłopotów i stopniowo czujność wszystkich opadała. Zaczęto zakładać miasta i budować domy. Ziemscy żołnierze

przeprowadzili się do domów i wzięli ze sobą tubylców, którzy ochoczo szukali pracy jako służący.

W miarę upływu czasu, zainteresowania Bena odsuwały się od gładko funkcjonujących projektów, w stronę badań zakazanych obszarów i religii tubylców. Tylko on ze wszystkich Ziemian mógł swobodnie się po nich poruszać. Długie rozmowy z dawnymi przełożonymi z onzarmii, przekonały go, że obowiązki względem planety, były bardziej istotne, niż jego życie prywatne.

Sporządzał notatki odnośnie wszystkiego, czego się dowiedział o życiu i zwyczajach Wenusjan. Zapiski rozrastały się ogromnie i do czasu kiedy Ziemia ponownie zbliżyła się do Wenus, tak by statki-pisklęta mogły wykonać lot powrotny, ukończył pierwszą kompetentną pracę na temat historii, religii i zwyczajów Wenusjan.

Najbardziej interesującym elementem jego badań, była wenusjańska religia. Kapłani byli władcami, naukowcami i nauczycielami od niezliczonej liczby pokoleń. Ben był daleki od uważania się za naukowca, ale czytał wiele książek, który dały mu szeroki obraz historii i nauki.

Pamiętał trochę pewną książkę, „Upadek Zachodu” Oswalda Spenglera. Spengler pisał w niej trochę o „cywilizacji” tubylców australijskich, którzy wynaleźli bumerang. Uważał on, że rodzaj myślenia skutkujący wynalazkiem bumerangu, jest zupełnie odmienny od pozwalającego na stworzenie na przykład geometrii analitycznej oraz, że gdyby rdzennym Australijczykom pozwolono na dalszy rozwój w izolacji, aż do osiągnięcia szczytów cywilizacji, kultura ta prawdopodobnie wniosłaby do nauki, matematyki i sztuki więcej, niż jakakolwiek inna na Ziemi.

Cywilizacja wenusjańska była do niej bardzo podobna. Ich nauka, była czymś bardzo dziwnym. Podczas gdy na Ziemi nauka wyrastała z materializmu i siłą przebiła się do obszaru psychologii, na Wenus miała ona swe korzenie w supernauce psychologii i badania umysłu, i z tej podstawy rozrosła się z wolna na materialną stronę życia.

Ben uczył się. Uczył się rzeczy, które wenusjańscy kapłani uważali za elementarne, i które – jak Ben wiedział – właśnie były odkrywane na Ziemi. Rzeczy dotyczących umysłu, jego mocy i zdolności. W tej chwili właśnie, zmierzał ścieżką w dżungli na kolejną z takich lekcji.

Ścieżka skończyła się na krawędzi dużej polany, w sercu jednego z zakazanych obszarów. Polana ta była jedynym miejscem, jakie Ben do tej pory widział, w którym tubylcy uprawiali rośliny. Żywność pozyskiwali, korzystając z bujnego wzrostu dzikiej flory. Na Wenus nie było potrzeby zakładania pól i ogrodów. Tutaj jednak, na czterdziestu akrach otaczających znajdujące się pośrodku potężne lamasterium, rozkwitał doskonale utrzymany ogród pełen kwiatów i pięknych drzew. Dobrze utrzymane ścieżki prowadziły w liniach prostych oraz pełnymi wdzięku zakolami między grządkami kwiatów. Żadna z tych roślin nie rosła na dziko w dżungli, a przynajmniej o ile Ben był w stanie to stwierdzić.

Pewien był, że niektóre z nich, po prostu, nie mogłyby rosnąć dziko. Ich kwiaty nie wytwarzały nasion.

Było to dziwne i tajemnicze miejsce, które zafascynowało Bena. Mieszkający tutaj kapłani, byli jedynymi z Wenusjan, noszącymi na co dzień ubrania, długie szaty z ręcznie tkanej wełny podobnych do owiec zwierząt, żyjących dziko na sporadycznie pojawiających się w dżungli naturalnych łąkach.

Kapłana rządzącego tym miejscem nazywano Ung, i Ben nie za bardzo mógł się zorientować, czy było to jego imię, czy też tytuł. Całe życie lamasterium kręciło się wokół Unga. Kapłani niższej rangi spędzali większość czasu leżąc plackiem na ziemi, w odległości z której mogli go dosłyszeć. Kiedy Ung udał się w jakieś miejsce, z którego go nie słyszeli, lekko się unosili i skuleni przesuwali się równolegle do niego, w sposób sprawiający wrażenie, że w ogóle nie wstali.

W obecności Unga nigdy też nie unosili twarzy, ani się nie odzywali. Dlatego, chociaż było ich tam całkiem wielu, zawsze kiedy Ben z nim rozmawiał, wydawało się, że są tam tylko Ben, Ung i bezimienny kapłan, który stał się cieniem Bena, i który rzucał się w pokłonie na ziemię, zaraz jak tylko przybyli na miejsce.

Kiedy Ben postawił nogę na polanie, zobaczył Unga spacerującego powoli po jednej ze ścieżek ogrodu. Ung zauważył go w tej samej chwili i radośnie pomachał mu na powitanie ręką. Stał, dopóki Ben nie doszedł do niego, leniwie podziwiając wielki, podobny do orchidei, jasnoczerwony kwiat, który właśnie zerwał.

— Dzień dobry, Ben — przywitał go Ung w języku wenusjańskim. — Widzę po twoim skupionym spojrzeniu, że dzisiaj chodzi ci coś konkretnego po głowie. Ale to może poczekać. Muszę skończyć swoje obowiązki względem świata natury i przyjąć dary oferowane za moim pośrednictwem Bóstwom Wenus.

Ung kontynuował swój spacer, zatrzymując się od czasu do czasu, aby przyjrzeć się dokładniej jakiemuś kwiatu. Jeśli sprostał on oczekiwaniom jego krytycznego oka, zrywał go. Po zebraniu kilkunastu różnych kwiatów, zawrócił w stronę budynku. Ben szedł obok niego.

— Natura czci Bogów tak samo, jak i ludzie — powiedział Benowi Ung, kiedy zbliżyli się do lamasterium. — W pewnym sensie, czyni to ona w bardziej pokorny sposób. Ludzie oferują jedynie niedoskonałość. Natura tworzy miliony rzeczy, tak by w ofierze mogły zostać złożone tylko doskonałe wytwory.

Weszli do budynku i przeszli przez duże pomieszczenie, które było jedynym oglądanym do tej pory przez Bena.

— Chodź — oznajmił Ung. — Pozwolę ci dzisiaj wziąć udział w ceremonii oferowania darów dla Bogów.

Razem przeszli do mniejszego pomieszczenia, które miało może ze dwadzieścia stóp kwadratowych powierzchni. Ben nie był w stanie powstrzymać okrzyku zaskoczenia. W czterech rogach pomieszczenia,

stały cztery ogromne posągi bóstw. To nie były prymitywne rzeźby, jakie zazwyczaj można znaleźć w takich miejscach na Ziemi. Przeciwnie, były one tak doskonale wyrzeźbione, że wydawały się zastygłymi w bezruchu żywymi postaciami.

Każda z nich przedstawiała Wenusjanina o wysokości dziewięciu stóp. Miały na głowach złote korony, gęsto wysadzane ogromnymi rubinami. Jednak tylko dwa posągi miały kolor ciemnego indygo, żywych Wenusjan. Trzeci był wyrzeźbiony z czystego złota. Czwarty, z jakiegoś białego, pozbawionego skazy materiału, połyskującego jak materia perłowa. Otaczała je dziwna aura, tak jakby wydawały się żywe.

Ben uważnie przyjrzał się stanowi posągów. Tylko jedna z figur była niedoskonała. Była to jedna z postaci w kolorze indygo. Wydawało się, że ma ona bliznę na jednym z policzków.

Zmysły Bena zaczęły falować. To była, chyba że zaczynał popadać w szaleństwo, dokładna kopia olbrzyma, który pojawił się na wysokiej platformie i rozkazał uczynić go królem Wenus!

Popatrzył na wpół ze strachem w boskie oblicze posągu. Oczy postaci wydawały się zanurzać głęboko w jego własne, sardoniczne i rozbawione jego zmieszanymi myślami.

Ben oderwał wzrok od posągu i odwrócił się, żeby zobaczyć co robi Ung.

Ung stał na środku pomieszczenia, przed rzeźbionym piedestałem, wyglądającym jak fontanna z wodą pitną. Jednak zamiast strugi wody, unosił się nad nim bladoniebieski płomień. Ogień musiał być podsycany paliwem z jakiegoś otworu w piedestale, a jednak nie było tam widać żadnego otworu, zaś płomień nie dochodził bliżej niż na cal do środka dużej czaszy, w której się znajdował.

Ben uważnie przyjrzał się płomieniowi. Miał kształt podobny do łzy, przy podstawie był duży i kulisty, u góry zwężając się do punktu. Jego kształty, były niemal ostre. Lekko drżał, tak jakby wibrował z dużą szybkością. Był prawie przezroczysty, jego niebieski kolor był tak blady, że niemal pozbawiony barwy.

Pomyślał, że to chyba musi być palnik gazowy, z gazem sprytnie zasilającym płomień z jakichś otworów zbyt małych, aby można było je dostrzec, chyba że się nad nim nachyli i ich poszuka.

Ung wziął jeden z trzymanych w ramionach kwiatów. Powoli wsuwał go w ogień. Kiedy płomień go dotknął, kwiat jakby w tym miejscu znikał. Niemal z rygorystyczną starannością, Ung wsuwał go coraz bardziej w ogień, aż w końcu strzepnął palcami, wrzucając w niego ostatni skrawek łodygi.

Kwiat całkowicie zniknął, nie pozostawiając po sobie nawet śladu popiołu. Pochłaniając kwiat, ogień nabrał nieco barwy, ale zaraz potem wrócił do swego cienistego jasnoniebieskiego koloru.

Jeden po drugim, Ung nakarmił ogień kwiatami. Wszystkie one zniknęły w taki sam sposób. Kiedy ostatni kawałek łodygi zginął w ogniu,

gdzieś na zewnątrz pomieszczenia zaczął bić bęben. A może bił on przez cały czas, i tylko jego dźwięk dotarł do świadomości Bena dopiero po zniknięciu ostatniego kwiatu? Nie wiedział.

Z pozbawioną wyrazu twarzą, Ung odwrócił się i ruszył w stronę drzwi, którymi tutaj weszli.

Ben po raz ostatni rozejrzał się dookoła. Twarze czterech posągów spoglądały z góry na niego, boskie i pogodne; młode, a jednocześnie nieskończenie stare, a ich twarze ożywiał jakiś trudny do określenia grymas. Święty płomień unosił się na swym miejscu, równie żywy jak cztery posągi.

Odgłos bębna, zdawał się nieustannie wisieć w powietrzu, stając się jakby jakimś elementem tego pomieszczenia. Bena opanowało dziwne uczucie, wydawało mu się, że mógłby wyciągnąć ręce i chwycić ten dźwięk w swe dłonie, że miałby on swoją wagę i substancję, jak realny przedmiot.

Wyszedł do czekającego na niego w zewnętrznym pomieszczeniu Unga i podszedł do kamiennego fotela, który zawsze zajmował, słuchając słów kapłana. Ung usiadł naprzeciw niego, jego oczy uważnie badały twarz Ziemianina. Zaczął mówić, przyciszonym, hipnotycznym głosem.

— Kosmos jest Jednością — rozpoczął. — A jednak, w jakiś dziwny sposób, istnieje nieskończona liczba możliwych kosmosów, i Jedność staje przez problemem nie do pokonania. Jej Przeznaczeniem jest przygarnięcie Wszystkich do swej piersi. A jednak, jak Jedność, która JEST może ogarnąć WSZYSTKO, co NIE JEST?

Ung umilkł. Kołysał się powoli do przodu i do tyłu, oczy miał zamknięte. Zdawał się albo oczekiwać od Bena odpowiedzi na swoje pytanie, albo zapomniał, że w ogóle cokolwiek powiedział. Ben wahał się, którą z możliwości wybrać. Już niemal miał się odezwać, gdy Ung zaczął ponownie mówić.

— Odpowiedź jest prosta, chociaż znalezienie jej zabrało nieskończoną ilość czasu — powiedział. — Odpowiedzią jest umysł. Umysł jest kosmosem w obrębie Kosmosu, oddzielnego i niezależnego od swego Stwórcy.

— Rozumiem to — odparł w zamyśleniu Ben. — Przez długi czas na Ziemi, filozofowie dyskutowali o tym, czy Kosmos istnieje. W większości dochodzili do wniosku, że dowiedzenie jego istnienia jest niemożliwe, i dlatego każdy umysł musi odrębnie przyjąć swe własne założenie, że Kosmos istnieje.

— Tak — zgodził się Ung. — Nawet na Ziemi przyznaje się, że każdy określony umysł jest kosmosem jako takim, logicznie izolowanym od Jedności, która daje jego istnieniu nieprzekraczalne środowisko istnienia. Cała logika, analizując ją, sprowadza się ostatecznie do indukcji, a wszystkie Prawa sprowadzają się w końcu do okruchów klejnotu zwanego prawdopodobieństwem.

— Logicy na Ziemi dyskutowaliby z tym stwierdzeniem — zauważył z uśmiechem Ben. — Rozwinęli oni mocno gałąź logiki zwaną

wnioskowaniem dedukcyjnym, którego konkluzje są pewne, wychodząc oczywiście z określonych przesłanek.

— Znany mi jest ten kierunek myślenia — spokojnie oznajmił Ung. — To jest iluzja. Każda, najprostsza nawet konkluzja, określona przy pomocy dedukcji, opiera się na minimum czterech konkluzjach indukcyjnych. Aby przeprowadzić nawet tylko te cztery wnioskowania indukcyjne, umożliwiające wykonanie prostego kroku dedukcyjnego, myślący umysł musi wyciągnąć kilka tysięcy wspierających je innych konkluzji indukcyjnych. Wnioskowanie dedukcyjne należy uznać w najlepszym przypadku za bojaźliwy krok ślepego idioty, wędrującego po krawędzi Przepaści, któremu ziemia pod stopami wykruszy się, jeśli przerwie swą wędrówkę, choćby na chwilę.

— To bardzo ponury obraz — odparł Ben. — Jeśli nie wolno nam ufać naszym wnioskom dedukcyjnym, cóż moglibyśmy przyjąć za pewnik? I, jeżeli już się temu dobrze przypatrzeć, czy jesteś pewien, że twoje wnioski, mówiące że dedukcja jest równie niepewna jak indukcja, nie są wynikiem przeprowadzonego przez ciebie nieprawidłowego wnioskowania?

— Wszelkie pewniki istnieją wyłącznie w granicach naszego własnego określonego kosmosu — oznajmił Ung. — Kiedy byłeś dzieckiem, przeszedłeś przez etap rozwoju umysłowego, w którym zastanawiałeś się nad istnieniem rzeczy, które w danej chwili są poza zasięgiem twoich zmysłów. Stworzyłeś teorię, że dany obiekt istnieje tylko wtedy, kiedy go widzisz, albo czujesz, zaś usłużnie przestaje istnieć, gdy znika z zakresu twej bezpośredniej świadomości. W miarę jak stawałeś się coraz starszy, wyrosłeś z tej dziecięcej teorii, ale odrzucając ją, odwróciłeś się jednocześnie plecami od jednej z najbardziej fundamentalnych prawd metafizyki, że dany obiekt NIE ISTNIEJE, chyba że jesteś go świadomy.

— Och, daj spokój, Ung — roześmiał się Ben. — Czy chcesz mi powiedzieć, że jeśli odwrócę się od ciebie plecami i odejdę sobie ścieżką, którą tutaj przyszedłem, to ty znikniesz i nie będziesz istniał do czasu, kiedy wrócę do ciebie jutro?

— Dokładnie to miałem na myśli — oświadczył poważnie Ung.

— Och, daj spokój — powtórzył Ben. Podejrzewał, że Ung wciąga go w jakąś gierkę.

— Nie rozumiesz tego? — spytał ze smutkiem Ung. — Wiem, że byłeś w stanie dojrzeć tę prawdę, kiedy byłeś tylko dzieckiem. Dlaczego nie potrafisz dostrzec jej teraz?

— Ponieważ to, po prostu, nie jest prawdą — odparł niespokojnie Ben.

— Już rozumiem — westchnął Ung. — Zaczynam rozumieć podstawową błędną koncepcję, na której opiera się ziemska cywilizacja. Wydaje się wręcz niepojęte, że tak wielu osobników, z tak wielu pokoleń, na planecie równie dużej co Wenus, i pod wieloma względami wyróżniającej się znacznie lepszymi warunkami, mogło odkryć w sobie solidne podstawy metafizyki, a potem odwrócić się do nich plecami na całą resztę swego życia. A jednak, o to właśnie musi chodzić.

Spoglądał w zamyśleniu obok Bena, za drzwi, na rozciągający się wokół budynku ogród.

— Tak się zastanawiam… — powiedział zadumany.

— Nad czym się zastanawiasz? — ponaglił go Ben.

— Zastanawiam się, czy zwierzęta i owady na twojej planecie, zachowują się tak samo? — Uśmiechnął się przepraszająco. — Wybacz mi tę pozorną zniewagę twojej rasy, Ben. Nigdy nie widziałem żadnego żywego stworzenia z Ziemi, poza istotami inteligentnymi. Tutaj na Wenus, studiujemy zwierzęta i owady, ucząc się ich filozofii i próbując je zrozumieć. Czy tak samo robicie na Ziemi?

— Zwierzęta i owady na Ziemi, nigdy nie wykazywały żadnej zdolności do rozumnego myślenia, a przynajmniej o ile mi to wiadomo — odparł Ben.

— I znów cię tu mam — dobrodusznie roześmiał się Ung. — Za dużą wagę przykładasz do rozumnego myślenia. Czynisz z niego kryterium dla możliwości wyciągania wniosków i formułowania teorii.

— A czyż tak nie jest? — spytał go zaskoczony Ben.

— Oczywiście, że nie — z naciskiem stwierdził Ung.

— Albo tak dalece zszedłeś na manowce, że nie mogę cię znaleźć — żartobliwie powiedział Ben, — albo ja tak bardzo zszedłem na manowce, że nie jestem w stanie śledzić toku twych dociekań. Z którą z tych możliwości mamy do czynienia? Nie odpowiadaj. Wiem, co sobie myślisz.

Ung odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się serdecznie.

— Ben, pozwól, że zadam ci pewne pytanie, które może zdawać ci się dalekie od tematu naszej rozmowy, ale tak naprawdę nie jest — rzekł Ung. Potem, po skinięciu głową przez Bena mówił dalej: — Czy w twoim umyśle jest coś, czego jesteś świadomy nieustannie? Pozwól, że ubiorę to w formę analogii. Wierzysz, że ja istnieję również, w czasie, kiedy ty nie jesteś mnie świadom. Wierzysz również, że moje istnienie ciągnie się nieprzerwanie z dnia na dzień, nawet jeśli ty jesteś ze mną czasami zaledwie godzinę lub dwie. Mógłbyś siedzieć tutaj i przez cały czas na mnie patrzeć, tak długo, dopóki uda ci się nie zasnąć, i w ten sposób utrzymywać mnie nieprzerwanie w sferze swojej świadomości. Czy jest jakaś myśl, albo wspomnienie, które pozostaje w sferze twojej świadomości nieustannie?

— Nie — odparł Ben. — Nie, chyba, że chodzi ci o to, że jestem świadom tego, że myślę.

— Nie o to mi chodzi — stwierdził Ung. — Weź pod uwagę dźwięk bębna, który słyszysz.

— To prawda — zawołał Ben. — Bęben bije przez cały czas, a ja byłem tego świadomy, tak naprawdę o tym nie myśląc. Zaczął bić, kiedy byliśmy w środku tamtego pomieszczenia i przez cały czas huczy, a ja się do tego już tak przyzwyczaiłem, że świadomie przestałem go już odbierać, aż do chwili kiedy nie zwróciłeś mi na to uwagi.

— Jeśli mi pozwolisz — zaproponował Ung, — chciałbym czegoś z tobą spróbować. To będzie pewnego rodzaju eksperyment, który pomoże ci się zorientować, o co mi chodzi. Wątpię, czy będziesz w stanie zrozumieć zasady wenusjańskiej nauki, jeżeli nie pokonasz w sobie pewnych podstawowych zatorów, wbudowanych przez twą cywilizację w wasz wzorzec umysłowy.

— Co to za eksperyment? — spytał rozbawiony Ben.

— Chcę osadzić w twym umyśle odgłos tego bębna, jako obiekt mentalny — wyjaśnił Ung. — To nie będzie zbyt trudne. Da nam za to pewne podstawy, na których będziemy mogli budować, kiedy pójdziemy dalej. Przyzwyczaisz się do niego, tak jak jesteś przyzwyczajony do swego ciała. Jesteś inteligentnym człowiekiem. Masz wystarczające zdolności do zrozumienia rzeczy, których chcę cię nauczyć, ale brak ci podstaw, od których musimy rozpocząć.

Przez chwilę uważnie przyglądał się Benowi.

— Widzę w twoich myślach, że próbujesz napisać książkę, która pozwoli ludziom na Ziemi zrozumieć Wenus. Jeżeli chcesz odnieść sukces przy realizacji tego zadania, musisz naprawdę wejrzeć w nasz sposób myślenia. Gdybyś pozwolił mi zrobić to, czego chcę, pomogłoby ci to znacznie bardziej niż cokolwiek innego.

— No to, dalej — zgodził się Ben. Czuł, że Ung mu schlebia, ale nie mógł się zorientować, z jakiego powodu.

— To będzie wymagać czegoś, co wy nazywacie hipnozą — powiedział Ung. — Będę musiał wprawić cię w trans.

— I tylko to ze mną zrobisz, kiedy już będę zahipnotyzowany? — spytał Ben, nieco zaniepokojony.

— Tak, tylko to — obiecał Ung. — Tylko zaimplantuję ci dźwięk bębna, bijącego w rytmie takim jak teraz. Ten odgłos będzie towarzyszyć przez cały czas twym świadomym myślom i już na zawsze stanie się częścią twej świadomości. — Jego głos subtelnie się zmienił. Oczy wpatrywały się intensywnie w Bena. — Ten rytm będzie się powtarzał nieustannie, zawsze w taki sam sposób, zawsze tam będąc — mówił dalej, powoli i melodyjnie. — Tak jak słyszysz go teraz, tak będzie już nieustannie. Zawsze będzie bił, zawsze będzie w twej świadomości. Stanie się Jedyną podstawą wszystkich twoich myśli, wiecznie bijąc w tym samym rytmie, nigdy się nie zmieniając. Będziesz w stanie utrzymywać go w centrum swej świadomości i zwiększać jego siłę, aż stanie się ogłuszający. A jednak nigdy nie uda ci się go zniszczyć. Pozostanie tam już na zawsze.

Głowa Bena nagle poleciała mu do przodu. Otworzył oczy. Ung ciągle mówił.

— Przepraszam cię, Ung — przerwał mu Ben. — Chyba na sekundkę zasnąłem. O czym mówiłeś?

— Jak myślisz, jak długo spałeś? — spytał go Ung, uśmiechając się lekko.

— Pomyślmy — zmarszczył brwi Ben, próbując sobie przypomnieć. Po chwili twarz rozjaśniła mu się zrozumieniem. — Zahipnotyzowałeś mnie!

Ung skinął głową.

— Zgadza się. Właśnie zrobiłeś pierwszy krok, na długiej drodze do zrozumienia umysłu Wenusjanina.

— To było aż takie proste? — roześmiał się Ben. — Nawet nie wiedziałem, że to się stało.

— Tak, to takie proste — odpowiedział Ung. — Teraz jednak, aż do jutra nic więcej nie możemy zrobić. — Podniósł się, w widoczny sposób go odprawiając.

Ben wrócił swoją drogą, przez ogród i dalej ścieżką przez dżunglę, z podążającym za nim w milczeniu, niebieskoskórym cieniem.

Dźwięk bębna towarzyszył mu przez cały czas. Ben zaczął się w niego wsłuchiwać i bicie stało się głośniejsze. Próbował zmienić rytm, ale oparł się on jego wszystkim wysiłkom, inaczej niż byłoby w przypadku każdego innego zewnętrznego dźwięku.

W pewnym sensie był to bardzo uspokajający dźwięk. Kojący. Pamiętał dziwne właściwości, jakie miał w pomieszczeniu, w którym palił się płomień, jego namacalność. Teraz było inaczej. Lepszym słowem do jego opisu, byłoby określenie „płynność”. Brzmiał on jak fale nieskończonego morza, uderzające o brzegi jego świadomości.

Dni szybko mijały. Nadszedł czas, gdy Wenus i Ziemia znalazły się w sprzyjających pozycjach, tak że statki-pisklęta mogły wykonać powrotny lot na Ziemię.

Ben był szczęśliwy z Grettą. Bardziej szczęśliwy, niż kiedykolwiek o tym marzył. Codzienne wizyty u Unga i praca nad książką zajmowały mu większość czasu. Od czasu do czasu wpadał do niego Georges Ley i spędzał z nim kilka godzin. Opowiadał mu, jak idą projekty prowadzone przez onzarmię, tak więc Ben miał niezły obraz postępu spraw.

W wielu miejscach odkryto bogate pokłady rozmaitych minerałów. Zaczęły już funkcjonować dwa duże pola naftowe. Rafineria dostarczała nawet więcej benzyny, niż to było potrzebne dla całego sprzętu motoryzacyjnego. Wszystko tworzone było na solidnej podstawie i wyglądało na to, że za parę krótkich lat, Wenus stanie się rajem zarówno dla ludzi z Ziemi, jak i dla tubylców.

Wtedy, pewnego ranka, Ben obudził się z dziwnym uczuciem, że coś się zmieniło. Leżał w łóżku, próbując się zorientować, co to mogło być. Nasłuchiwał odgłosów z rozciągającej się na zewnątrz dżungli: zawsze obecnych trzasków szybkiego wzrostu roślin, sporadycznych łomotów, walących się gdzieś w oddali drzew, szczebiotu ptaków i krzyków nadrzewnych zwierząt, żyjących wokół wioski. Wszystko wyglądało tak, jak zwykle.

Wsłuchał się w odgłos bębna w swym umyśle. Również brzmiał tak, jak powinien. Temperatura powietrza była taka sama, jak zawsze. Zapachy dolatujące z dżungli i z wioski, także niczym się nie wyróżniały.

Zbył więc dziwne uczucie wzruszeniem ramion. Wydawało się, że nie ma żadnych podstaw do tego rodzaju przeczuć. No chyba że dopadło go jakieś choróbsko.

Wstał i ruszył w stronę wejścia ze swego „pałacu”, betonowego budynku, zbudowanego specjalnie dla niego. Czuł się zmęczony. Wręcz wyczerpany. A przecież spał dobrze. Nie mógł sobie nawet przypomnieć, żeby miał jakieś sny.

Wzrok mu się lekko rozmywał. Uniósł dłoń do oczu, żeby je przetrzeć. Na ręce miał jakąś smugę. Przyjrzał jej się. Była to zaschnięta krew. Zmarszczył brwi i próbował w głowie przebadać sygnały całego ciała, czy aby gdzieś nie czuje bólu. Nic. Wrócił do śpiącej Gretty. Wydawała się być w porządku. Z zamyśleniem poszedł do umywalki i zmył z ręki ciemną plamę. Postanowił nikomu o tym nie mówić.

Trochę go to niepokoiło. Czy mógł zacząć lunatykować? Zmęczenie, jakby minęło wiele dni od kiedy po raz ostatni zasnął, zdawało się wskazywać tę możliwość. Ale KREW!

Żałował teraz, że trochę jej sobie nie zostawił. Mógłby ją przeanalizować, żeby sprawdzić, czy to jest ludzka krew. Sprawdził uważnie łóżko, w którym spał. Nie było nawet śladu. Niewątpliwie krew musiała zaschnąć na jego ręce, zanim wrócił do łóżka.

Gretta obudziła się i leniwie przewróciła z boku na bok. Szeroko ziewnęła, wymamrotała coś pod nosem i zasnęła z powrotem.

Ben popatrzył na nią w zamyśleniu. To nie było do niej podobne. Od zawsze, kiedy z nią sypiał, niezmiennie budziła się świeża i pełna życia. Zachowywała się niemal jakby była oszołomiona. Postanowił jej nie przeszkadzać.

Marszcząc brwi w zakłopotaniu, wyszedł do jadalni i zjadł śniadanie, podane mu przez sprawną służbę, która jakoś stała się częścią jego gospodarstwa domowego, pomimo tego, że nie wiedział kim byli ci ludzie i kto ich wybrał.

Właśnie kończył jeść, kiedy do jadalni wszedł Georges Ley, ciągnąc za sobą protestującego służącego, który usiłował go powstrzymać do chwili, aż nie zostanie zaanonsowany we właściwy sposób.

— Dzień dobry, Georges — powitał go Ben, uśmiechając się aby pokryć uczucie niepokoju, które go prześladowało. — Usiądź i wypij ze mną filiżankę kawy.

Georges zawahał się.

— Pewnie mi się przyda — zgodził się. Usiadł przy stole. Filiżanka kawy pojawiła się przed nim, niemal zanim jeszcze usiadł. Przełknął łyk gorącego płynu, odstawił filiżankę na stół ze stuknięciem, zagrażającym jej kruchemu istnieniu.

— Ben — powiedział, — pojawił się pierwszy poważny problem. Przypuszczam, że wcześniej czy później coś takiego musiało się wydarzyć, ale już zaczynałem mieć nadzieję, że uda nam się tego uniknąć.

— A więc? — ponaglił go Ben bezbarwnym głosem. Oczy miał na wpół przymknięte i sączył powoli kawę, co pomagało mu ukryć napięcie na twarzy.

— Czy pamiętasz tę Rosjankę ze służby pomocniczej, na Pisklęciu Jeden? Tę, która, jak wszyscy nieoficjalnie wiedzieli, zakochana była w czarnym żołnierzu? — spytał w końcu Georges.

Ben skinął potwierdzająco głową, ze ściśniętym gardłem.

— Kilka godzin temu została zamordowana — z goryczą oświadczył Georges. — To był najbardziej brutalny czyn, o jakim słyszałem. Medycy twierdzą, że najpierw podcięto jej gardło, a potem jej ciało uwiązano za kostki i szybko obracano dookoła. Krew była na ścianach, na suficie i na wszystkich meblach w jej pokoju. Ktokolwiek to zrobił, musiał mieć niesamowitą siłę. Była dużą dziewczyną, ważyła około stu osiemdziesięciu funtów. Myślisz, że ktokolwiek z Ziemian miałby wystarczająco dużo siły, aby tak nią kręcić? Nie wydaje mi się, i założyłbym się o ostatniego dolara, że każdy z dwunastu członków rady przysięgłych, stwierdzi od razu, że to morderstwo z rąk jakiegoś bliżej nam nieznanego Wenusjanina.

— A więc rzeczywiście, w końcu pojawiły się problemy — cichym głosem zgodził się Ben. — Nie wydaje mi się, abyśmy dali radę utrzymać to w tajemnicy, dopóki nie uda się nam jakoś dojść, co się stało?

— Teraz nie ma już na to najmniejszej szansy — odparł Georges. — Cały obóz już o huczy o tej zbrodni. Nie minie dzień, a będą o tym wiedzieć wszyscy ludzie na Wenus, włączając tubylców.

Ben popatrzył gorzko na swoją rękę. Czy to on mógł ją zabić? Zmęczenie, kiedy się obudził, smuga krwi na ręce; to były dosyć mocne poszlaki. A jednak, czy był wystarczająco silny, aby tego dokonać?

Niezależnie, z której strony by na to nie patrzeć, było to morderstwo szaleńca. Czegoś takiego nie mógłby przecież zrobić człowiek kierujący się zdrowymi zmysłami. Jednak somnambulik, który popełnia je we śnie, to całkiem nieźle by pasowało. Mogło mu się śnić, że używa rozpylacza. Mogło mu się śnić, że dziewczyna jest chora i to jedyny sposób na to, aby ją wyleczyć. Mogło… och, mógłby mieć niemal dowolny motyw, który wydawałby się normalny i sensowny jego śpiącemu umysłowi, zaś faktyczne wydarzenia byłyby tłumaczone na coś zupełnie innego w towarzyszącym mu śnie.

— Jest pewna możliwość, która przyszła mi na myśl — powiedział Georges, przerywając korowód myśli Bena. — Przypuśćmy, że jednak zrobił to któryś z żołnierzy. Mógł przecież pójść do jej pokoju i zacząć się do niej dobierać, a ona opierała się mu siłą, albo odmówiła mu i nawet nie doszło do bezpośredniej walki. To całkiem prawdopodobne. Ludzie są tutaj już od niemal dziesięciu miesięcy, a dyscyplina w armii jest nadal surowo przestrzegana. Przypuśćmy, że zagroziła mu złożeniem raportu. Postanowił więc ją zabić. Aby zrzucić podejrzenia na tubylców, zrobił pierwszą rzecz, która mu wpadła do głowy, która odwracała podejrzenia od nas wszystkich, a co za tym idzie również i od niego. Ta cała rzecz wygląda mi na pomysł małego Kazia, który nie miał zbyt wiele rozumu, i usiłował wymyślić co mogliby zrobić Wenusjanie.

— To byłoby bardzo dobre rozwiązanie — zgodził się z nim Ben. — Może dobrze byłoby poprowadzić śledztwo w tym kierunku; dokonać gruntownego przeszukania wszystkich kwater, aby znaleźć nóż i jakieś części ubrania. Zamknąć pralnię i szukać brudnych ubrań. Ale jednak,

jakoś nie wydaje mi się, aby to była właściwa odpowiedź. Prześladuje mnie osobliwe wrażenie, że za tym morderstwem stoi jakiś sensowny powód. Nazwij to przeczuciem.

— A co rozumiesz przez sensowny powód? — spytał go Georges. — Czy takie morderstwo mogłoby zostać dokonane przez człowieka zdrowego psychicznie, chyba że mówimy o tubylcach, których motywy mogą być sensowne dla nich, ale kompletnie niezrozumiałe dla nas?

— Chodzi mi o to, że odnoszę wrażenie, iż istnieje jakiś określony powód dla zalania całego tego pokoju krwią — odparł Ben. — Tak, wiem, że brzmi to fantastycznie. I nie jestem w stanie nawet sobie wyobrazić, jaki to mógłby być powód.

— No cóż, w każdym razie będę o tym pamiętał, Ben — trzeźwo stwierdził Georges. — Muszę już wracać, natychmiast przekażę twoje sugestie do wdrożenia. Wydaje mi się, że ludzie odpowiedzialni za dochodzenie, przyjmą za oczywiste, że to był któryś z tubylców i nie będą zbyt usilnie szukać białego mordercy.

Podniósł się i zasalutował. Ben również wstał i odpowiedział mu salutem.

Stał w miejscu, w którym pozostawił go Georges, patrząc niewidzącym wzrokiem na zamknięte drzwi. Skąd to dręczące go przeczucie? Z podświadomości, przechowującej wyraźne wspomnienia każdego szczegółu zbrodni?

Ung, ze spokojnym uśmiechem na ustach, obserwował jak Ben wyłania się ze ścieżki w dżungli i idzie przez ogród. W kącikach jego ust dało się jednak dostrzec leciutki grymas okrucieństwa, i zimny, rozbawiony błysk w oczach. Patrzył jak Ben zmierza przez ogród do miejsca, w którym stał.

— Dzień dobry — radośnie powitał go Ben.

Ung zawahał się, a potem skinął głową w odpowiedzi na powitanie.

— Czy coś cię martwi? — zasugerował Ung.

— Nie — odparł Ben. — Absolutnie nic. Czuję się doskonale. A czemu pytasz? Wyglądam na zmartwionego?

— Nie wyglądasz na… specjalnie wypoczętego — oznajmił Ung, uważnie studiując wzrokiem Bena.

— Jakoś kiepsko spałem — przyznał Ben. — W nocy budziłem się kilka razy. Być może wyglądam na nieco zmęczonego, ale czuję się doskonale.

Ung niepostrzeżenie wzruszył ramionami i ruszył w kierunku kamiennych siedzisk, które wraz z Benem zajmowali w czasie swoich dyskusji.

Ben popatrzył z zamyśleniem na jego plecy, i po chwili poszedł za nim. Zdecydował się o niczym nie mówić Ungowi. Jeżeli coś było nie w porządku i Ung o tym wiedział, to może zrezygnuje ze swych zamiarów, jeśli Ben będzie udawał, że nic się nie stało. Czy jego pytanie o to, czy coś nie martwi Bena, podyktowane było wiedzą, że coś się wydarzyło? Mogło tak być.

Ung usiadł na swoim zwykłym miejscu, a Ben zajął siedzenie naprzeciw niego, czekając aż Ung rozpocznie rozmowę.

— Robisz całkiem niezłe postępy — oznajmił Ung, przechodząc od razu do tego, czego uczył Bena. — Myślę, że zaczynasz rozumieć, co to znaczy dla umysłu, że jest sam dla siebie kosmosem, niezależnym logicznie od innych. Kiedy zdasz sobie sprawę, że kosmos jest tylko określoną formą ekspresji, zrozumiesz także, iż twój umysł i wszystko co on w sobie zawiera może być takim samym ogromem, jak tak zwany wszechświat fizyczny. Nie ma możliwości dedukcyjnego wywnioskowania, że tak zwany wszechświat NIE jest całkowicie zawarty w twoim umyśle. Nie wykorzystujesz w całości swego umysłu na potrzeby świadomości, tak samo jak nie wykorzystujesz całego domniemanego wszechświata, kiedy pozostajesz w stanie świadomości.

— Tak — zgodził się z nim Ben. — Zaczynam całkiem wyraźnie rozumieć, o co ci w tej chwili chodzi. Tak naprawdę, być może, udaje mi się wybiec nieco poza to, co mi już powiedziałeś. Rozumiem analogię między indywidualnym umysłem jako kosmosem, oraz fizycznym kosmosem. Jeżeli przyjmiemy, że domniemany fizyczny kosmos jest Najwyższą Formą Istnienia, to, zakładając iż jest on doskonały, naszym celem jest próba osiągnięcia tego samego rodzaju umysłowości, ponieważ, określmy to tak, Stwórca stanowi Rzeczywistość. W pewnym sensie, to personifikuje naturę, ale w sposób, który wydaje się dosyć logiczny i ma dobre podstawy, by przyjąć go za poprawny. Jeżeli przyjmiemy człowieka raczej jako umysłowość, a nie umysł znajdujący się w ciele o określonej postaci, to umysłowość tę naprawdę możemy określić, jako stworzoną „na obraz Boga”.

— To bardzo dobrze — poważnie odparł Ung. — A teraz, przed rozwijającą się inteligencją otwierają się dwie drogi. Może ona rozdzielić Umysł i Materię. Może tworzyć teorie dotyczące materii, nazywane prawami fizycznymi i teorie odnośnie umysłu, nazywane prawami psychologicznymi. To jest droga rozwoju, którą poszła Ziemia. Opiera się ona na założeniu, że umysł jest funkcją materialnej struktury, która stanowi część postulowanego Kosmosu fizycznego. Innymi słowy wykorzystuje ona założenie, które ty sam czynisz, że ja istnieję w czasie, kiedy ty nie utrzymujesz mnie w swojej świadomości.

— Druga droga — mówił dalej, — polega na przyznaniu przed sobą, słuszności tego co uznawałeś za prawdę, kiedy byłeś dzieckiem; mianowicie, że nie ma dla ciebie innej rzeczywistości, poza tym co jest zawarte w twej świadomości i twoim umyśle. Wtedy, przy kilku pomniejszych założeniach, możesz rozpocząć pracę nad poznaniem JEDNEGO i jedynego typu nauki, psychologii. Praw zachowania wyłącznie twego umysłu. Niepodatność tak zwanej zewnętrznej rzeczywistości, powoduje niepodatność psychologicznego działania umysłu. Manipulacja otoczeniem materialnym staje się wtedy świadomym ukierunkowaniem procesów mentalnych, tej samej kategorii, co myśl.

— Ung, nie sądzę abym rozumiał o co ci chodzi — przerwał mu Ben. — To dla mnie zabrzmiało tak, jakbyś chciał mi powiedzieć, że na obiekt fizyczny można oddziaływać bezpośrednio myślą.

— Dokładnie, jeśli nauczę cię tego, jak to robić — zgodził się Ung. — Pozwól, że przedstawię ci pewną analogię. Człowiek z jakimś niemożliwym do wyrugowania nawykiem. Próbuje go wyeliminować, ale wszystkie jego wysiłki nie przynoszą żadnego efektu. Jest jego niewolnikiem. Wyrwanie się z uścisku tego nawyku przekracza jego możliwości. Ta prosta analogia jest wskazówką do opanowania sztuki panowania nad tak zwaną zewnętrzną rzeczywistością. Metoda leczenia człowieka z niemożliwym do usunięcia nawykiem, polega na wprowadzeniu innego wzorca zachowania, który atakuje pośrednio tamten nawyk. Zwykłą metodą leczenia nałogu uzależnienia jest wprowadzenie czynnika psychologicznego, który ostatecznie powoduje u pacjenta gwałtowne pogorszenie samopoczucia, za każdym razem, kiedy przyjmie on określoną substancję od której jest uzależniony.

— Zdaje się, że tak właśnie postępuje się w przypadku pewnych nałogów, na Ziemi — zgodził się Ben. — Pamiętam sobie coś podobnego. Czytałem kiedyś reklamę, w której twierdzi się, iż wypicie ich produktu we filiżance kawy, powoduje, że po wypaleniu tytoniu człowiek czuje się źle, i w ten sposób jest zmuszony do rzucenia palenia.

— Zasadniczo, to właściwa metoda — stwierdził Ung. — I właśnie to robię z tobą. Wprowadzam kontr-nawyki, które, kiedy dojrzeją, umożliwią ci mentalne manipulowanie naturą!

— Nie za bardzo rozumiem, jak — stwierdził z powątpiewaniem w głosie Ben.

— Oczywiście, że nie rozumiesz! — odparł zirytowany Ung. — I nie zrozumiesz, dopóki nie nadejdzie czas, w którym będziesz w stanie to zrobić.

— Pewnie masz rację — ułagodził go Ben.

— No to, zabierzmy się za dzisiejsze ćwiczenia — oznajmił Ung. — W tej chwili, rytm bębna jest już tak dobrze zintegrowany z twoją świadomością, że stanowi on dla ciebie podstawę twych myśli. Teraz musisz się nauczyć, jak nadać mu formę i substancję, jak uczynić go materialnym, że tak to określę.

— Wydaje mi się, że wiem, o co ci chodzi — powiedział Ben, przypominając sobie jak dźwięk bębna oddziaływał na niego w tamtym pomieszczeniu w którym płonął ogień.

— To doskonale — kontynuował Ung. — Wprowadzę cię w trans hipnotyczny i pokieruję twoimi myślami. W końcu będziesz w stanie robić to bez pomocy hipnozy.

Ben przez chwilę poczuł opór. Czuł jakiś niewyraźny niepokój. Potem jego umysł zrobił się pasywny. Tak wiele razy był hipnotyzowany przez Unga, że nie potrafił już mu się oprzeć.

Bicie bębna uderzało w brzegi jego świadomości, jego echa uchodziły z powrotem w spienione morze dźwięków. Z bezradnym protestem umysł, który znał siebie samego, jako Bena Arnolda, zapadał się coraz głębiej i

głębiej w amorficzną przestrzeń, w której nawet nie zdawał sobie sprawy, że wie kim jest…

Mary Adams, biała dziewczyna, i Luella Browne, kolorowa, dzieliły jeden pokój. Obie pochodziły z Chicago w Stanach Zjednoczonych i zajmowały pokój na pierwszym piętrze koszar dla onzwaac w Chicago na Wenus.

Mary w żaden sposób nie mogła zasnąć. Przez cały czas wydawało jej się, że słyszy jakiś dziwny, szeleszczący odgłos, który wydobywa się gdzieś spod ziemi.

— Śpij w końcu, Mary — z rozdrażnieniem powiedziała Luella. — Albo przynajmniej zachowuj się cicho, żebym ja mogła złapać choć trochę snu.

— Ale mówię ci — upierała się Mary, — słyszę to. Takie dziwne szeleszczenie, jakby miliony owadów pełzały w suchych liściach.

— Ja też to słyszę, Mary — odparła Luella. — Ale przecież nie jest to żaden powód, abyśmy nie mogły pójść spać.

— Boję się tego — wyznała Mary. — Chciałabym wiedzieć, co to może być.

Wstała z łóżka i zapaliła światło. Ciasno otulając się połami szlafroka, poszła do łazienki. We wszystkich pokojach były okna, ale nawet w okresach gdy wieczna pokrywa chmur przerzedzała się do minimum, światło wpadające z zewnątrz nie było wystarczająco mocne, aby można było się obyć bez oświetlenia elektrycznego.

Z półki nad umywalką wzięła szklankę do picia i wyciągnęła rękę, żeby przekręcić kurek. Jej dłoń zawisła w powietrzu. Przerażone oczy dziewczyny, wpatrywały się w odpływ umywalki.

Odpływ był dosłownie wypełniony kipiącą białą masą. Masa wypływała z niego i wylewała się do umywalki. Jej nadmiar rozpadał się na małe, podobne do robaków stworzenia. W chwili, kiedy oddzielały się od pierwotnej masy, zaczęły wyrastać im nóżki. A przynajmniej tak wyglądały, chociaż mogły być to jakieś mackowate pseudo-odnóża, wyrastające z centralnego korpusu. Mogły być to również w pełni rozwinięte nogi, które wcześniej wciągnięte były całkowicie w głąb ciała, a teraz wypychane były na zewnątrz.

Formowały one ruchomy dywan złowrogiej bieli, na tle lśniącej powłoki muszli umywalki i zaczynały pełznąć przez jej krawędź. W miarę jak się przemieszczały, wydawało się, że wyrastają im głowy z wielkimi szczękami.

Do czasu, gdy przedostały się przez brzeg umywalki i spadły na podłogę, stawały się już białawymi owadami, podobnymi z wyglądu do termitów. Nie były tymi małymi robaczkami, oddzielającymi się od masy wypchniętej przez odpływ umywalki.

Mary wrzasnęła na całe gardło. Potem zaczęła gwałtownie przygryzać sobie grzbiet dłoni, wycofując się powoli z łazienki.

Luella wyskoczyła z łóżka i pobiegła do niej.

— Musimy stąd uciekać — powiedziała natychmiast, wsuwając stopy w pantofle i naciągając na siebie szlafrok.

Dziewczyny otworzyły drzwi na korytarz i zaczęły pośpiesznie uciekać. Nie wiedziały nawet gdzie biegną, byle tylko jak najdalej od swojej łazienki.

Kiedy na wpół zbiegały, na wpół zsuwały się po schodach na parter, usłyszały rozdzierający wrzask, dobiegający gdzieś z góry. Na podłodze holu głównego, widać było tysiące małych, białych, termito-podobnych stworzeń.

Dziewczyny pobiegły szybko w stronę wejścia frontowego, starając się jak najkrócej dotykać stopami mrowiącej się robactwem podłogi i natychmiast unosić je do góry.

Tuż przed drzwiami wyjściowymi, Luella poślizgnęła się i upadła. Natychmiast nakrył ją biały dywan, który poznaczył cętkami jej ciemną skórę. Wrzasnęła dziko, młócąc bezładnie rękoma.

Mary zatrzymała się w drzwiach i odwróciła w jej stronę. Zobaczyła jak Luella wstaje, z oczyma pokrytymi skorupą białych stworzeń, tak że powieki nie mogły się zamknąć. Poczuła ostry ból, jakby od ukłuć igłą, i zobaczyła, że niektóre ze stworzeń gryzą ją w kostki. Odepchnęła drzwi i wybiegła na zewnątrz budynku, a w uszach dźwięczały jej krzyki koleżanki z pokoju.

Na dworze zobaczyła olbrzymiego, błękitnoskórego giganta. Jej oczy zarejestrowały fakt, że zdawał się on stać na podstawie z białych stworzeń, a one na niego nie wchodziły, oraz że u boku trzyma wielki dysk z brązu. Była już tak bardzo przyzwyczajona do widoku tubylców, a oni zawsze byli tacy uprzejmi i usłużni, że te rzeczy zostały odebrane przez jej wzrok, ale nie przedostały się do jej umysłu. Podbiegła do niego, krzycząc „Ratuj mnie" w uproszczonym łamanym angielskim.

Uśmiechnął się do niej szeroko. Kątem oka dostrzegła jakiś ruch z boku. Zatrzymała się, patrząc w bezduszne oczy i wyszczerzoną w uśmiechu twarz tubylca, a do jej mózgu docierała świadomość tego, że jej gardło właśnie zostało sprawnie podcięte, a krew wytryska z niego strumieniem, spływając jej po piersiach.

Zrobiła jeszcze jeden krok, zanim upadła. Ostatnią rzeczą, jaką czuła, był ból miliona igiełek, wbijających się w jej ciało i wrażenie szorstkiej gryzącej wełny na skórze. Umarła zastanawiając się, skąd się wzięła ta wełna. Nie wiedziała, że były to nóżki owadopodobnych stworzonek, pełznących po jej ciele…

Pół godziny później, trzech mężczyzn w jeepie zwolniło, żeby popatrzeć na obrany do czysta szkielet, który parę krótkich minut wcześniej, był Mary Adams. Zwolnienie to, było błędem. Jakąś milę dalej, jeep zjechał z betonowej nawierzchni, zaś trzech mężczyzn szaleńczymi klepnięciami opędzało się od stworzeń atakujących ich skórę.

Na skrzynię jeepa wskoczył nagle tubylec i poderżnął im gardła – czyn całkowicie zbędny, ale zdawał się go cieszyć, nawet jeśli wiedział, że

przyspieszył ich śmierć nie więcej niż o jakąś minutę. Zeskoczył z powrotem na ziemię i pogardliwie odszedł po białym dywanie. Te z owadów, które nawet przywierały do jego stopy, szybko odpadały, nie czyniąc mu żadnej krzywdy.

Georges Ley spał, siedząc w głębokim, wygodnym fotelu w swojej sypialni. W pewnej chwili fajka wyślizgnęła mu się z dłoni i upadła na podłogę. Odgłos jej upadku obudził go.

Sięgnął ręką po fajkę i podniósł ją. Z roztargnieniem wyciągnął z kieszeni zapalniczkę i powtórnie ją przypalił. Kiedy pociągał z ustnika, żeby tytoń się rozpalił, jego wzrok spoczął na drzwiach od łazienki. Przez szparę pod drzwiami, do pokoju wlewał się biały dywan.

W miarę posuwania się, rozprzestrzeniał się, badając teren. Georges zamknął z trzaskiem zapalniczkę i szybko rozejrzał się dokoła. Poruszająca się horda owadów, otaczała ze wszystkich stron.

Jedno ze stworzeń weszło mu na but. Pochylił się, aby lepiej mu się przyjrzeć. Na buty weszło kilka kolejnych. Jedno z nich dotarło do końca buta i natychmiast wbiło swoje szczęki w skórę nogi, przegryzając się przez skarpetkę.

Ponownie obrzucił szybkim spojrzeniem poruszający się biały dywan i błyskawicznie podjął decyzję o ucieczce.

Miał szczęście. Stworzenia nie dotarły jeszcze do jego samochodu w garażu. Kiedy ostro przyśpieszał, kierując wóz w stronę odległej Sierry Corscatehs, przed oczyma rozciągała się mu panorama zniszczenia. Widział setki ludzi, padających na ziemię i natychmiast pokrywanych przez ruchomy dywan robactwa. Widział szeroko uśmiechniętych tubylców, biegających po nim bez żadnej szkody, zatrzymujących się tylko po to, by sprawnie podrzynać gardła.

Jeden z tubylców wskoczył na platformę samochodu. Georges strzelił mu w głowę i jechał dalej.

Inny z tubylców rzucił w niego nożem. Nóż zawadził o jego ramię, ześlizgnął się po tylnej części barku i wbił się po rękojeść w mięśnie na plecach, płytko, tuż pod skórą.

Zacisnął tylko wargi w ponury grymas, wciskając przez cały czas pedał gazu tak mocno, jak tylko się dało, i modląc się, żeby nic nie stanęło mu na drodze. W pewnej chwili jakieś wielkie stworzenie przemknęło betonową autostradę tuż przed maską jego samochodu, biegnąc na oślep z wielkimi białymi łatami na plecach. Słyszał jego żałosne skrzeki, dopóki nie oddaliło się poza zasięg wzroku i słuchu.

Podłoże stało się śliskie. Samochód zarzucał niebezpiecznie przy najlżejszym ruchu kierownicą. Z tyłu widać było inny wóz. Georges nie mógł dojrzeć kierowcy. Być może był to kolejny Ziemianin, który miał na tyle szczęścia aby uciec. Ale mógł to być także jeden z tubylców, próbujący uniemożliwić mu dotarcie do bazy w górach. Nie ośmielił się zwolnić, aby to sprawdzić.

Wyjechał zza zakrętu i zobaczył z przodu wirujący i przewracający się samochód. Na moment pojawiła się twarz kierowcy, zanim nie zakrył jej biały dywan. Był to jeden z bliskich przyjaciół Georgesa.

Słupki na poboczu, kiedy Georges mijał je w pędzie, zlewały się w jednolicie białą smugę. Dywan owadów wyglądał jak lekko brudny, matowy śnieg. Gdyby autostrada nie była położona wyżej, w stosunku do poziomu ziemi po obu jej stronach, trudno byłoby powiedzieć, gdzie się kończy jezdnia.

Nagle dżungla się skończyła. Autostrada natychmiast zaczęła się wznosić. Biały dywan stał się zielono-szaro-biały, roztapiając się w bladą zieleń górskiej trawy.

Zagrożenie przez owado-podobne stworzenia minęło. Georges zwolnił, a po chwili zatrzymał samochód i czekał na pojazd, który widział za sobą. Pistolet trzymał gotowy do strzału. Jeżeli kierowcą nie będzie Ziemianin, miał zamiar najpierw strzelać, a dopiero potem zadawać pytania.

Czekał przez dziesięć minut. Drugi samochód nie pojawił się. Albo kierowcę spotkała katastrofa w ostatniej chwili przed osiągnięciem bezpiecznej ziemi, albo był to tubylec, który nie ośmielił się ścigać go poza dżunglą.

W końcu Georges ponownie uruchomił samochód i zaczął wspinać się w górę. Przed zanurzeniem się w warstwę chmur, zatrzymał się ponownie i obejrzał za siebie. Dżungla w dole ciągnęła się jak okiem sięgnąć. Poza pasem na jej granicy, nie było nawet śladu białej zagłady. Ale na krawędzi dżungli, wylewała się z niej biała pokrywa, z dużej odległości wyglądająca jak roztapiający się śnieg, który leżał przez całą zimę i zrobił się ciemny i brudny.

Blisko, niemal na wyciągnięcie ręki, pasło się duże stado zwierząt. Byli to podobni do owiec roślinożercy, żyjący na polanach w dżungli. Ewidentnie zwierzęta uciekły na wzgórza przed owado-podobnymi stworzeniami. Na stokach widać było wiele innych ich zwartych stad, jak okiem sięgnąć.

Umysł nadal miał kompletnie otępiały przez świadomość potwornej katastrofy, która bez najmniejszego ostrzeżenia zmiotła ziemską kolonię. Georges ponownie uruchomił samochód i powoli jechał w górę, przez warstwę chmur.

Chyba, że ten sam bicz zagłady uderzył również w położony w górach płaskowyż, gdzie pozostało nie więcej niż sto tysięcy z miliona ludzi, którzy przekroczyli pustkę kosmosu z Ziemi, niecały rok temu!

A co, jeżeli także i oni zginęli? Czy był może ostatnim białym człowiekiem, który pozostał przy życiu, na całej planecie?

Nacisnął na pedał gazu. Godzinę później dotarł do placówki zaopatrzeniowej, położonej w połowie drogi. Niemal zapłakał z ulgi, kiedy zobaczył, że ze środka wychodzi mu na spotkanie Ziemianin.

A człowiek ten, zbył kompletnie zaskoczony, kiedy Georges zapomniał o swej randze i wyskoczył z samochodu, aby powitać go jak dawno utraconego brata.

Georges Ley siedział przy biurku, czytając napisany na maszynie raport. Minęły już trzy ziemskie dni, odkąd uciekł hordzie owadów, dzięki swej szaleńczej wyprawie przez dżunglę, docierając na bezpieczne tereny w górach.

Był to raport z działu biologii, który głosił: Owad ma charakter w pewnym sensie analogiczny do termita, lecz istnieje kilka zaskakujących różnic. Gleba na obszarach porośniętych dżunglą na Wenus składa się w swej górnej warstwie ze słabo ubitej martwej roślinności, w której żyje wiele rozmaitych drobnych roślin z rodzaju grzybów, rosnących całkowicie pod ziemią.

Odkryto i sklasyfikowano ponad dwadzieścia różnych gatunków tych podziemnych roślin. Większość z nich ma kształt miękkiej rozrośniętej kuli, ale kilka z nich jest wężokształtnych, dochodzących do długości ponad pięćdziesięciu stóp.

Ta roślinna warstwa ziemi zakażona jest, w większości miejsc w ilościach tysięcy osobników na stopę sześcienną, przez małego, podobnego do robaków, owada, żerującego na wspomnianych odmianach grzybów, zaś pozostawiającego w zupełnym spokoju korzenie roślin powierzchniowych.

Ponad wszelką wątpliwość zostało udowodnione, że owadami, które spowodowały wszystkie zniszczenia, są te robaki. Z jakichś nieznanych powodów nagle wyszły one spod ziemi i przeszły metamorfozę, analogiczną do przechodzenia w postać skrzydlatą przez owady ziemskie; w tym przypadku przemiana polegała na wyrastaniu nóżek i żuchw, oraz na zmianie nawyków żywieniowych z pokarmu roślinnego na zwierzęcy.

Na powierzchni ziemi atakowały one tylko zwierzęta, nie ruszając żadnych roślin. Po mniej więcej siedemdziesięciu dwóch godzinach, czasu ziemskiego, od czasu kiedy wyrosły im nogi itd., zrzucały je i wracały do swego poprzedniego stanu robaków, żywiących się podziemnymi roślinami grzybiastymi.

Podejrzewa się, że ten trzydniowy okres, ma coś wspólnego z ich cyklem reprodukcyjnym. W tej chwili nie ma jednak silnych dowodów, na poparcie tej tezy, i wymagane będą dalsze badania tego gatunku, zanim będzie można wyciągnąć ostateczne konkluzje.

Tego rodzaju szczegółów natury technicznej, było w raporcie znacznie więcej. Georges szybko przebiegł je wzrokiem. Fakty obecnie były już jasne. Na Ziemi była siedmiodniowa szarańcza, muchy łososiowe i wiele, wiele innych rodzajów owadów, które tajemniczo pojawiają się i znikają, przeżywając swe specyficzne cykle życiowe.

Kataklizm, który zniszczył niemal wszystkie siły ziemskie na Wenus, był właśnie tego rodzaju zjawiskiem – zupełnie nieprzewidywalnym. Trzeba będzie znaleźć metody eksterminacji tego gatunku, jeśli Ziemia

miała mieć jakąkolwiek na dzieję na rozwój Wenus. Alternatywnie należy odkryć sposób na przewidzenie, kiedy ma nadejść ten trzydniowy okres, tak by w przyszłości koloniści mogli schronić się w góry, dopóki nie minie niebezpieczeństwo.

Obecnie stało się oczywiste kilka faktów. Wenusjanie niewątpliwie wiedzieli o zagrożeniu i wiedzieli również, jak się na nie uodpornić. Nie ostrzegli kolonistów. Przyjęli ekspedycję z Ziemi z otwartymi rękoma i pomogli osiedlić się jej członkom na nizinach, w dżungli, tylko z jednego powodu – liczyli, że fala owadów zniszczy ich kompletnie.

Spodziewali się, że baza na płaskowyżu zostanie całkowicie opuszczona, tak by zginął każdy człowiek na Wenus. I być może zostałaby ona opuszczona, gdyby nie fakt, że utrzymanie jej było niezbędne ponieważ nie można było zabrać na dół statków-piskląt. Nie miały one wystarczająco dużo energii, by wystartować samodzielnie i polecieć na niziny, a były za duże, by ściągnąć je po zboczach gór.

Co się może wydarzyć teraz? Myślenie o przyszłości, wywoływało u Georgesa ból głowy.

Przeskoczył myślami do Bena Arnolda. Czy Ben nadal żył? Czy tubylcy pozwolili, aby owady zjadły również i jego? Król Ben! Teraz brzmiało to jak ponury żart. Chyba lepiej by było, gdyby Ben jednak zginął. Jeśli ciągle żył, spowoduje to mnóstwo komplikacji.

Traktat. Czemu tubylcy tak bardzo się upierali, aby włączyć do traktatu warunek, że Ben ma pozostać na zawsze ponad prawem? Zgodzono się na to, nie patrząc na powody, jakie za tym stały. Narody Zjednoczone przegłosowały specjalne prawo, z klauzulą nieodwołalności, tak więc, niezależnie od tego co się wydarzy w przeszłości, osoba Bena stała ponad prawem zarówno na Wenus, jak i na Ziemi. Nawet w przypadku wojny z Wenus, tego prawa nie można było odwołać. W pierwszym wybuchu entuzjazmu doskonałym rozwojem spraw na Wenus, zrobiono by wszystko co tylko możliwe, aby umocnić kontynuację przyjaznych stosunków. Prawo to przeszło więc bez najmniejszego trudu, jako coś, co ma zaspokoić kaprys tubylców.

Myślano, że pewnie jest to niezbędne, dla zachowania „twarzy” ich króla. Rządy ziemskie aż piszczały z ochoty, aby zapewnić królowi Wenus wszelką „twarz” i poważanie, jakiego tylko mogliby pragnąć Wenusjanie.

Teraz jednak, traktat okazał się od samego początku zupełną farsą, przynajmniej jeśli chodzi o Wenusjan. Wszyscy tubylcy zabrali się za prowadzenie ciężarówek czy też za jakąś inną robotę, kłaniając się i płaszcząc przez najeźdźcami z Ziemi, z szerokim uśmiechem na twarzy, wiedząc, że już w najbliższej przyszłości, nadejdzie czas, kiedy z tych najeźdźców nie zostanie nic, poza bielejącymi kośćmi i pustymi domami.

Każdy z tubylców był przyjacielski, grzeczny i pomocny, pielęgnując w sercu tajemnicę „tryumfu”, wiedzę że zachowuje się przyjaźnie w stosunku do trupa.

Myślenie w dużej mierze opiera się na tradycjach i zwyczajach. Trzeba by być czymś więcej niż człowiekiem, żeby się z tego wyrwać. Bez wątpienia diaboliczny plan Wenusjan wyrastał z ich dawnych tradycji. Tradycje te były zupełnie nieznane ekspedycji onzarmii. Być może, pewnego dnia, zostaną odkryte przyczyny tego wszystkiego. Być może, kiedyś, w mrokach przeszłości, jakaś inna rasa, z innej planety wylądowała tu i została zniszczona przez te owady.

Myśli Georgesa nieustannie wracały do Bena Arnolda. Przeżył, czy zginął? Na czym polegała tajemnica odporności tubylców na owady? Czy miała ona charakter naturalny, czy została wytworzona przez jakiś związek chemiczny? Gdyby chodziło o jakieś chemikalia, mogli oni uodpornić Bena i najprawdopodobniej żyje. Jeśli odporność była naturalna, na przykład owady nie lubią zapachu tubylców lub smaku ich skóry, wtedy niemal na pewno Ben zginął.

Co zrobić teraz? Po tym, jak tubylcy biegali gdzie popadnie i podrzynali gardła ludziom, teraz będą bez wątpienia walczyć z każdym oddziałem, który zostanie wysłany na niziny. Już wcześniej zaczęto przygotowywać zespół uderzeniowy, żeby wedrzeć się tam siłą. Przywiezione w tym celu czołgi, właśnie były wyładowywane i tankowane.

Posterunek umiejscowiony na skraju dżungli ciągle raportował brak kontaktu z tubylcami. Pomimo tego, że wszystkie owady wróciły już pod ziemię. Gdyby tubylcy mieli zaatakować… ale oczywiście wcale nie mieli takich zamiarów. Musieli myśleć o czymś innym, czekając na nieunikniony atak zespołu uderzeniowego, który powinien zostać wysłany na niziny, aby oszacować zniszczenia i w miarę możliwości spróbować odwetu.

Telefon Georgesa zadzwonił, przerywając jego myśli. Apatycznie podniósł słuchawkę. To był oddział obserwacyjny na skraju dżungli.

— Kapitan Ley? — spytał z podekscytowaniem głos na drugim końcu przewodu. Potem, nie czekając nawet na potwierdzenie: — Jest tutaj porucznik Arnold, to jest chciałem powiedzieć Król Arnold, z kilkoma tubylcami. Nie chce nic powiedzieć, ale jeden z tubylców oświadczył, że chcą udać się na górę, na płaskowyż, żeby porozmawiać.

— Proszę dać Króla Arnolda do telefonu — polecił Georges.

Nastąpiła chwila milczenia. Potem ponownie zabrzmiał w słuchawce głos żołnierza.

— Ciągle nie chce nic mówić, panie kapitanie — powiedział. — Zachowuje się trochę dziwnie, jakby był pod wpływem narkotyku, czy coś podobnego.

— O.K., w takim razie załadujcie ich na ciężarówkę i przyślijcie na górę — rozkazał Georges.

Rzucił słuchawkę telefonu na widełki i wstał z krzesła.

— A więc Ben żyje! — wymamrotał pod nosem. Wychodząc z pomieszczenia polecił swej sekretarce zwołać spotkanie całego sztabu.

Trzynastu członków sztabu siedziało po jednej stronie długiego stołu, po sześciu po każdej ręce Kapitana Leya. Po drugiej stronie stołu stało

dziesięciu ośmiostopowych tubylców. Wszyscy byli starzy i mieli pomarszczoną skórę. Wyglądali zupełnie inaczej, niż tubylcy, których kapitan Ley miał okazję widzieć wcześniej, ubrani byli w ręcznie tkane wełniane płaszcze, opadające im z ramion aż na podłogę.

Jeden z tubylców wyszedł dwa kroki przed pozostałych. Zaraz za nim stał Ben, pilnie strzeżony przez dwóch tubylców, z pozbawioną wyrazu twarzą i pusto spoglądającymi oczyma.

Tubylec na przedzie prowadził rozmowy.

— Bardzo nas zasmuciło, że wasi rodacy zostali zabici przez mrówki — oznajmił, mówiąc po wenusjańsku. — Nazywam się Ung, jestem skromnym kapłanem. Przez pewien czas byłem nauczycielem tego… — spojrzał na Bena z wyrazem gniewu i nienawiści — …tego człowieka, którego wybraliśmy naszym królem. Już od dłuższego czasu wiedział o zagrożeniu. Uważaliśmy więc, że przesłał wam ostrzeżenie.

— Co! — Georges był tak zaskoczony, że aż poderwał się na nogi. — Czy to prawda, Ben?

— Prawda — odparł Ben. Jego wargi poruszały się powoli, ale szyderstwo na twarzy, było niemożliwe do pomylenia.

— Kiedy pojawiły się owady — mówił dalej Ung, — byliśmy bardzo zdumieni, że wszyscy wasi zostali na miejscu. Uratowanie ich było niemożliwe. Zrobiliśmy więc jedyną rzecz, jaką tylko mogliśmy. Litościwie skracaliśmy ich cierpienia.

— To znaczy, podrzynaliście im gardła — ponuro stwierdził Georges.

— Tak — Ung skłonił się ze smutkiem. — To wszystko, co mogliśmy zrobić. Żeby było jasne, oszczędziło im to kilku minut intensywnych męczarni, ale był to czyn miłosierdzia. Kiedy to wszystko się już skończyło, zaczęliśmy się zastanawiać, dlaczego nie uciekliście w góry, dopóki nie minie niebezpieczeństwo. Zapytaliśmy naszego… króla — ponownie odwrócił się posłał Benowi spojrzenie pełne intensywnej nienawiści. — Powiedział nam, że nienawidzi swej własnej rasy i planował zniszczyć ją doszczętnie, tak byście zostawili nas w spokoju. Może pan być pewien, że byliśmy naprawdę głęboko wstrząśnięci. Od czasu kiedy tutaj jesteście, pokochaliśmy was jak braci. Chcemy byście wiedzieli, że nie akceptujemy szalonego planu tego człowieka, którego uczyniliśmy naszym królem.

— Czy ten kapłan mówi prawdę? — spytał Bena Georges.

Ben wzruszeniem ramion strząsnął trzymające go z obu stron dłonie dwóch mężczyzn i zrobił krok do przodu. Szyderstwo na jego twarzy zmieniło się w wyraz głębokiej nienawiści i pogardy.

— To prawda — oświadczył. — Nie przybyliście tutaj, aby zaprzyjaźnić się z tymi ludźmi. Chcecie po prostu zrobić to, co Anglicy robili z każdym krajem, który najeżdżali; dokładnie to samo, co osadnicy zrobili Indianom.

Wyrzucił ręce w dramatycznym geście, gwałtownie wstrząsając głową.

— Nie chciałem dopuścić, aby to się stało! Rozkażę moim podwładnym, aby zabili resztę z was w męczarniach. A teraz, wynoście się z tej planety i nigdy nie wracajcie!

Dwóch tubylców przesunęło się do przodu, ponownie chwyciło Bena za ręce i z powrotem go odciągnęło.

— Widzicie? — powiedział Ung ze smutkiem. — On jest kompletnie szalony. Jesteśmy spokojnymi ludźmi. Szkoda, że nie możemy cofnąć tej straszliwej krzywdy, którą wam wyrządzono. Będziemy dla was pracować, pomagać wam w odbudowie.

Człowiek siedzący koło Georgesa podał mu notatkę, która przeszła z rąk do rąk przez cały rządek. Jej zawartość brzmiała: „Ben niewątpliwie jest pod wpływem jakiegoś narkotyku, albo może został zahipnotyzowany. Każ im, aby został u nas na obserwacji i zwódź ich, aż nie będziemy pewni.

— Oto nasze obecne żądanie — oznajmił Georges. — Wasz król, chwilowo wróci do nas, na obserwację, tak byśmy sami mogli zdecydować, czy postradał rozum i oszalał. Potem, ponownie z wami porozmawiamy. W międzyczasie, będziemy bardzo wdzięczni, jeśli pozostaniecie tutaj, jako nasi goście. Podjęcie decyzji, nie powinno zająć więcej, niż kilka godzin.

— Zanim się na to zgodzimy — pośpiesznie odparł Ung, — chcemy podkreślić, że w żaden sposób nie naruszyliśmy traktatu, poza tymi zabójstwami z miłosierdzia. Żałujemy, że zgodnie z naszym prawem, nasz król nie może odpowiadać za swoją straszliwą zbrodnię. Żałujemy również, że wy także nie możecie go ukarać, ponieważ zakazuje wam tego traktat i wasze własne prawa. My już go osądziliśmy, na tyle, na ile jest to możliwe. Pozostanie naszym królem przez resztę swego życia, ale pozbawiamy go całej jego władzy. Teraz jest już królem wyłącznie z nazwy. Może udać się tam, gdzie zechce i nikt nie dotknie go nawet palcem. Naszą decyzją jest jednak, aby na zawsze objął go ostracyzm, aby stał się człowiekiem pozbawionym przyjaciół, kraju i rasy. Zgodnie z naszą decyzją, macie zaakceptować ten wyrok kapłanów i nałożyć na niego taką samą karę. Jeżeli tego nie uczynicie, wypowiemy nasz traktat i rozpoczniemy walkę. Jeżeli to zrobicie, nadal będziemy wam pomagać. Jestem pewien, że już nie wpadniecie w pułapkę mrówek, kiedy ponownie one przybędą.

Uśmiechnął się i odszedł na bok. Szczupła ciemnobłękitna postać kapłana, wyglądała nieco groteskowo, kiedy jego płaszcz unosił się i opadał w rytm jego kroków. W oczach widać było mu błysk, wyglądający jak tryumf.

— **N**ie ma żadnych śladów hipnozy, ani narkotyków, panie kapitanie — oznajmił psychiatra kapitanowi Ley. — Konsekwentnie trzyma się swojej historii. Nienawidzi nas i zgodnie ze swymi własnymi słowami, chce się nas pozbyć. Według niego, tubylcy nie mają z tym nic wspólnego. Rozkazał im, aby milczeli, mówiąc, że osobiście ostrzeże nas przed mrówkami.

— Ale to jest niemożliwe! — zawołał Georges. — Czy jest pan pewien, że to nie jest hipnoza?

— Wszystkie nasze testy temu zaprzeczają — odparł psychiatra. — Oczywiście, kapłani tubylców mogą znać parę sztuczek związanych z hipnozą, o których my nie mamy nawet pojęcia. Wprowadziliśmy go w trans hipnotyczny, a on nadal trzymał się swojej historii. Wypróbowaliśmy na nim narkotyki prawdy, nie dało to żadnego efektu. Jeżeli to co mówi, jest sugestią posthipnotyczną, chciałbym nauczyć się ich metod. Nie znamy sposobu na stworzenie w umyśle permanentnej blokady, która oparła by się kontrhipnozie, i serum prawdy.

— Czy w ogóle cokolwiek wam się udało znaleźć? — spytał Georges.

— Nic, poza jakąś dziwną fobią, że jego umysł zawiera pewien obiekt, wzorzec z uderzeń bębna, na bazie którego może aktem woli stworzyć inny kosmos i zniszczyć ten realny. Zgodnie z moją najszczerszą opinią, on oszalał. Jeżeli rzeczywiście mamy do czynienia z szaleńcem, to absolutnie możliwe, że on naprawdę to wszystko zaplanował i dołożył wszelkich wysiłków, żeby nas pozabijać.

Starzec poczuł, że ktoś ciągnie go za rękaw i szarpnięcie to przywróciło go do rzeczywistości. Otworzył oczy. Antyczny wentylator ciągle głośno grzechotał. Hałas zmieszanych ludzkich głosów wisiał w powietrzu, otaczając go ze wszystkich stron, a uderzenia bębna dolatywały gdzieś z daleka, stłumione i cierpliwe w swym równym, nieustającym rytmie.

Twarze zgromadzonych wokół stołu młodych kadetów były blade i pełne napięcia. Starzec uniósł swój kufel z piwem i opróżnił go jednym haustem. Zrobiło się już ciepłe i było wygazowane.

— Oczywiście, odbył się proces — powiedział, ocierając wąsy wytartym rękawem płaszcza. — Największy proces, jaki miał miejsce kiedykolwiek wcześniej, czy też odbędzie w przyszłości. Na rozprawie byli obecni najwyżsi kapłani z Wenus. Najmniej znaczącym członkiem sądu był prezydent jakiegoś południowoamerykańskiego kraju. Musiało tak być, ponieważ kapłani nalegali, aby nikt kto nie jest władcą nie mógł sądzić władcy, nawet jeżeli ten władca nie mógł zostać na tej rozprawie pociągnięty do odpowiedzialności.

— Sąd Organizacji Narodów Zjednoczonych zaprzągł do pracy najlepsze mózgi na świecie, aby podjąć decyzję równą salomonowej, gdyby Salomon jeszcze żył. Wydaje mi się, że sentencja wyroku brzmiała mniej więcej tak, że ponieważ Ben Arnold nie mógł być osądzony, to przed sądem stanęły narody Ziemi i Wenus i to one zostały skazane na zakaz rozmów i związków z Benem Arnoldem, przez resztę jego życia. Na każdego, komu by udowodniono taki czyn, nałożono surowe kary.

— W każdym razie, brzmiało to mniej więcej w taki sposób. Słyszałem o tej sprawie, i czytałem o niej w gazetach, łącząc informacje kawałek po kawałku, zanim zebrałem wszystko w jedną całość. Rozumiecie, nie wiedziałem o procesie, zanim nie upłynął od niego ponad rok i dopiero

wtedy zacząłem grzebać w starych czasopismach w zbiorach bibliotecznych.

— A… a… ale… — próbował się wtrącić jeden z kadetów.

— Proces był, oczywiście, tylko farsą, przedstawieniem zmontowanym, ponieważ wenusjańscy kapłani wyraźnie oświadczyli, że jedynie wydanie takiego wyroku zapewni ich zgodę na ponowną pokojową eksploatację Wenus. Georges Ley mógłby stanąć okoniem i wysadzić w powietrze ten cały kompromis, układ, czy jakkolwiek to nazwać. Nawet ja mógłbym wymanewrować kapłanów i posłać tę całą winę w diabły, ale nie byłem w stanie uczestniczyć w procesie.

— Ale, zaczekaj… — kadet próbował mu ponownie przerwać.

Uchwalili dla Bena Arnolda pensję wystarczającą na utrzymanie się przy życiu oraz prawo, które nie pozwalało mu pozostać w jednym miejscu dłużej niż tydzień. Tyle tylko, że wyrazili je tak, iż nie mógł przebywać w jednym miejscu dłużej niż przez tydzień nie ściągając surowych kar na zarządcę gminy i właściciela nieruchomości, który pozwoliłby mu pozostać dłużej na swoim terenie. Potem, puścili go wolno. Mógł udać się swobodnie tam gdzie chciał – na Ziemię, Wenus, czy Marsa, kiedy został on zagospodarowany do tego stopnia, że zaczęły tam latać cywilne linie kosmiczne.

— Ale myślałem — powiedział głośno jeden z kadetów.

— Gazety znalazły w tej sprawie kopalnię złota Ben Arnold, jeszcze większy zdrajca niż jego imiennik Benedict Arnold. Ben Arnold najgorszy zdrajca wszystkich czasów.

— Ale myślałem, że to pan był Benem Arnoldem ze swojego opowiadania — w końcu zdołał powiedzieć młody kadet.

— Bo jestem — odparł starzec.

— Ale mówił pan, że nie był na rozprawie — szybko dodał kadet, — a zgodnie z wiedzą historyczną, był pan tam.

— Kroniki filmowe z tamtych czasów, pokazywały pana! — tryumfalnie dorzucił inny z kadetów. — Jeśli pan jest Benem Arnoldem, to musiał pan tam być.

— Mówimy o dwóch różnych rzeczach — cierpliwie wyjaśniał starzec. — Byłem tam, a jednocześnie mnie tam nie było.

— Niech pan posłucha, panie starszy — oznajmił kadet, który postawił mu piwo, na wpół się podnosząc. — Zostało nam już jedynie parę sekund. Właśnie słychać było ostatnie wezwanie na pokład naszego statku. Czy mógłby pan nam w kilku słowach powiedzieć, co pan miał na myśli?

— Nie było mnie tam — powtórzył starzec. — Ostatnią rzeczą jaką pamiętam sprzed katastrofy, było to, że siedzę na ławce słuchając Unga, w jego ogrodzie. Potem przypominam sobie niejasno jak stoję przed płomieniem, a czterej Bogowie Wenus patrzą na mnie z wysokości swych dziewięciu stóp. Odniosłem potem przelotne wrażenie, że patrzę na ten płomień, unoszący się przez wieczność nad postumentem, przez oczy jednego z tych posągów, ale nie jestem tego pewien. Nie wiem, czy

oszalałem i psychiatrzy mieli rację, czy moja dusza została wyjęta z ciała i uwięziona w posągu wenusjańskiego Boga gorąca i światła, podczas gdy on objął w posiadanie moje ciało, aby dokonać zemsty. Ja…

Ostry gwizd przerwał jego słowa. Kadeci odrzucili krzesła do tyłu i pobiegli do bramek. Wentylator przez chwilę ostro zajęczał, a potem ponownie zaczął grzechotać. Zasłona głosów ludzkich i innych dźwięków portu kosmicznego wisiała bez ruchu w powietrzu.

Bicie bębnów zbliżyło się i zachłannie otoczyło starca, a przez poczekalnię przeleciał podmuch przesiąkniętego ozonem powietrza, z pola startowego obok budynku, przyniesiony przez kolejną grupę młodych kadetów.

KONIEC